ŁOWIEC POLSKI



52 ROK WYDAWNICTWA

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 3 (976) MARZEC 1950 R. CENA 60 ZŁ

Przedłużenie myśliwskiego Konkursu fotograficznego

Opóźnienia ukazania się w druku zeszytów 1 i 2 ŁOWCA POLSKIEGO, spowodowały nie dotarcie do rąk myśliwych-fotografów ogłoszenia o Konkursie Fotograficznym dla amatorów. Dało to w wyniku bardzo słabe obesłanie Konkursu.

Aby temu stanowi rzeczy zaradzić, Komitet Redakcyjny postanowił przedłużyć termin dostarczenia zdjęć na konkurs

do dnia 30 kwietnia

Warunki Konkursu pozostają takie, jakie podano w ogłoszeniach, zamieszczonych w zeszytach ŁOWCA POLSKIEGO: Nr 12/1949 oraz w Nr Nr 1i 2/1950. Zwracamy uwagę, że do Konkursu nie mogą być nadsyłane zdjęcia już gdzie indziej reprodukowane.

Spis rzeczy w numerze:

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 3 (976) 1950 MARZEC



Wydra rys. T. Bełżecki

Inż. STANISŁAW IHNATOWICZ

CO ROBIĆ DALEJ?

W artykule w styczniowym numerze br. zostało ustalone, że „zasadniczym celem Polskiego Związku Łowieckiego jest wzmożenie gospodarczych zasobów kraju i siły jego obronności".

Organizacja nasza po wojnie zmieniła swe oblicze pod względem pochodzenia klasowego masy członkowskiej. Mimo to jesteśmy spóźnieni w stosunku do całości i tempa wysiłków mas pracujących, które z entuzjazmem budują podstawy i zręby gospodarki socjalistycznej. Przyczyny, dlaczego jesteśmy spóźnieni, ujawniono w powołanym artykule, zamieszczonym w numerze styczniowym br. Okazuje się, że jest rzeczą konieczną ostateczne oczyszczenie szeregów Związku Łowieckiego, a więc: „w pierwszym

etapie przede wszystkim muszą być usunięci z szeregów Związku żywioły klasowo obce, wrogie, żyjące z eksploatacji cudzej pracy, jak wszelkiego rodzaju przedsiębiorcy przemysłowi, kupcy, młynarze, restauratorzy, kamienicznicy, kapitaliści, spekulanci, rozmaitego typu kombinatorzy i im podobni. Z władz Związku muszą odejść przedwojenni kadrowcy o mentalności i stylu sanacyjno-faszystowskim".

Jak to zrobić? Oczyszczenie szeregów Związku musi być przeprowadzone tak, aby akcja ta wspierała się na szerokiej podstawie członkowskiej masy, reprezentowanej przez robotników, biednych i średniorolnych chłopów, żyjących z własnej pracy, oraz inteligencji pracującej, stojącej szczerze i uczciwie na stanowisku demokratycznym, uznającej naszą rzeczywistą robotniczo-chłopską Demokrację Ludową.

Aby to wykonać należy z okazji zebrań dorocznych kółek (stowarzyszeń, towarzystw) myśliwskich, dorocznych zebrań powiatowych rad łowieckich i takich zebrań wojewódzkich rad łowieckich — stawiać na porządku dziennym sprawę oczyszczania szeregów Związku. Dyskutować te sprawy wyczerpująco, prześwietlać skład osobowy dotychczasowych władz wymienionych ogniw organizacyjnych Związku.

Wszystko to powinno być robione zgodnie z tym stanem faktycznym, że w miarę, jak nasza władza ludowa, nasz Rząd, wsparty na sojuszu roobtniczo-chłopskim, pod przewodem klasy robotniczej na czele z jej awangardą marksistowsko-leninowską — Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą — coraz bardziej utrwalają Demokrację Ludową, osiągają coraz lepsze wyniki w gospodarce planowej, coraz mocniej, szerzej i głębiej zakładają fundamenty gospodarki socjalistycznej, — wróg klasowy, reprezentowany przez niedobitki kapitalistów, obszarników oraz kułaków wiejskich wzmagają i zaostrzają walkę klasową, chwytają się najbardziej drastycznych, zdradzieckich haniebnych metod agentur dywersyjno-szpiegowskich. Walka klasowa nie omija i nie może omijać naszego Związku. W ukrytej formie trwa ona i bałamuci szeroki ogół członków. Trzeba ją postawić w pełni światła dziennego, trzeba o niej jasno, wyraźnie, konkretnie mówić. Właśnie doroczne zebrania poszczególnych ogniw organizacyjnych są jedną z najlepszych sposobności, aby o niej, to znaczy o walce klasowej z wrogiem klasowym mówić i wyciągać z dyskusji właściwe wnioski organizacyjne. Należy zmieniać ludzi we władzach kółek myśliwskich, radach łowieckich powiatowych i wojewódzkich, stawiać na miejsce ludzi niewłaściwych, obcych i wrogich klasowo — ludzi, dających gwarancję swym pochodzeniem klasowym, swą pracą, zamiłowaniem i troską o łowiectwo, że potrafią wysoko nieść sztandar socjalistycznego łowiectwa, pracować dlań szczerze i z oddaniem.

Jeżeli ustalono, że zasadniczym celem Polskiego Związku Łowieckiego jest również wzmożenie siły obronności Kraju, to i z tej strony obowiązkiem jest naszym tak prowadzić politykę personalną, aby ten cel został w stu procentach zabezpieczony i osiągnięty. Jasne jest, że w dziedzinie obronności Związek Łowiecki posiada bardzo poważne znaczenie. Myśliwy, który uprawia praktycznie polowanie, jest jednocześnie i strzelcem i znawcą terenu. W strzelaniu myśliwskim, wymagającym szybkiej orientacji, przytomności, zdolności oddawania szybko strzału, trafności i skuteczności tego strzału — mieści się pełny zespół wymagań, jakie są stawiane strzelcowi wyborowemu, gdy chodzi o obronę granic Ojczyzny, obronę pokoju. Znajomość terenu, umiejętność szybkiego, dokładnego orientowania się w terenie, umiejętność czytania terenu co do jego ukształtowania (równiny, wzgórza, doliny, parowy, wąwozy, strumienie, błota itp.), znajomość przejść, przejazdów, przesmyków — oto wymagania, stawiane wyborowemu strzelcowi, wysłanemu na zwiady. Są to jednocześnie umiejętności, których opanowania wymaga uprawianie polowania racjonalnego. Dobry myśliwy, dobry strzelec to dobrze przygotowany obrońca Ojczyzny, a powołany w szeregi siły zbrojnej — może być i powinien być gotowym, dobrym zwiadowcą terenowym i wyborowym strzelcem. A więc i ze względu obronności kraju, cała praca w naszym Związku musi iść po takich torach, by każdy członek PZŁ, który tego będzie pragnął, mógł bez zastrzeżeń otrzymać pozwolenie na posiadanie broni palnej.

I w zakresie wzmożenia gospodarczych zasobów kraju i sił jego obronności — jak widzimy, szeregi Związku, a przede wszystkim — skład osobowy władz organizacyjnych ogniw Związku w terenie — muszą być oczyszczone. Właściwym miernikiem, właściwym sposobem oceny, kto się nadaje a kto się nie nadaje na stanowiska do tych władz — jest właśnie pełne prześwietlenie dotychczasowego składu tych władz pod względem pochodzenia klasowego i pod względem postawy klasowej, jaką zajmuje.

Jak najszersze masy członków Związku na wszystkich szczeblach jednostek organizacyjnych Związku w terenie, przodujący członkowie robotnicy, biedni i średniorolni chłopi, chłopi żyjący z pracy własnych rąk, inteligencja, maszerująca krok w krok, ramię w ramię z klasą robotniczą — musi od dołu przystąpić zaraz, natychmiast do kontroli i oczyszczania szeregów członkowskich Związku, a w tym przede wszystkim — oczyszczania składu osobowego władz terenowych ogniw organizacyjnych Polskiego Związku Łowieckiego. Nie należy, oczywiście, tego rozumieć w ten sposób, że w skład członków Związku i jego organów terenowych mogą wchodzić tylko członkowie stronnictw i partii, wchodzących w skład bloku jedności robotniczo-chłopskiej. Mogą i powinni pracować w szeregach Związku również i bezpartyjni, ale tacy, którzy zajmują właściwą postawę w stosunku do naszej rzeczywistości.

To jest pierwszy nasz etap prac nad całkowitym wyjaśnieniem i uzdrowieniem stosunków w naszym Związku, etap bardzo ważny i konieczny do przeprowadzenia.

Wymaga on dużych wysiłków i starań, licznych zabiegów, pokonania wielu trudności lokalnych w terenie, lecz praca ta musi być zrobiona i do tej pracy przede wszystkim członkowie bloku jedności robotniczo-chłopskiej na czele z członkami Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej muszą niezwłocznie przystąpić.

JULIAN BOHUSZ

Budżet Koła Łowieckiego

(Dokończenie)

Przechodząc z kolei rzeczy do opisu i wyjaśnień wzorca preliminarza budżetowego, rozpocznę od opisu jego wyglądu zewnętrznego i znamion formalnych.

Najpraktyczniejszym będzie opracowanie preliminarza budżetowego na arkuszach formatu znormalizowanego papieru maszynowego, łączonych w formie zeszytu o kolejno numerowanych stronach. Ilość kart można wówczas dowolnie dostosować do rozmiarów opracowania, a operowanie całością, w formie niewielkiego zeszytu, jest łatwiejsze niż wielkimi, niewygodnymi dla użytkowania i przechowania arkuszami papieru.

Wzór strony okładkowej preliminarza budżetowego podaję niżej:

KÓŁKO ŁOWIECKIE
w

PRELIMINARZ BUDŻETOWY
na rok

Uchwalony przez Walne Zgromadzenie
w dniu

SKARBNIK PREZES

Arkusze papieru, na którym ma być wypisana treść preliminarza budżetowego, powinny być odpowiednio poliniowane dla ujednolicenia sposobu ujęcia tej treści, jak i dla umożliwienia szybkiej orientacji przy posługiwaniu się budżetem. Z tych samych względów należy ściśle przestrzegać zasady dokładnego wypełniania rubryk formularza, wypisywania poszczególnych liczb, tytułów i ustępów treści w sposób jednolity w miejscach ku temu przeznaczonych.

Wydaje się rzeczą wskazaną wykonanie w przyszłości druków na formularze budżetowe w sposób masowy, nakładem chociażby Polskiego Związku Łowieckiego i rozprowadzenie ich na użytek kółek łowieckich. Przyniosłoby to jeszcze i tę dodatkową korzyść, że powinno przyczynić się do rozpowszechnienia jednolitego typu opracowań budżetowych, na co zwracałem uwagę na wstępie. Oczywiście, masowe wykonanie druków mogłoby wchodzić w rachubę dopiero po ustaleniu przez Polski Związek Łowiecki wzorca preliminarza budżetowego, a może także po zdaniu przez ten wzorzec egzaminu życia.

Niżej podaję wzór druku preliminarza budżetowego:

Wzór ten zawiera jednocześnie fragment treści strony wpływów preliminarza budżetowego dla wskazania na przykładzie sposobu wypełniania druku i samego ujęcia treści.

Jak widzimy na tym przykładzie, treść całego preliminarza budżetowego jest rozbita na paragrafy i z kolei każdy paragraf na pozycje. Tytulatura i kolejna numeracja paragrafów i pozycyj budżetowych powinna być stała i niezmienna. W razie niewykorzystania poszczególnych §§ lub pozycji należy wymienić je tytularnie w treści preliminarza, nie wykazując żadnych sum wpływów czy wydatków w odpowiednim miejscu kolumn czwartej lub piątej druku. W ten sposób zachowana będzie jednolitość nomenklatury i kolejnej numeracji poszczególnych części budżetu, i możliwość operowania jedynie liczbą paragrafu czy literą pozycji, bez powoływania całego tytułu.

Wypełniając formularze preliminarza budżetowego należy rozpocząć na stronie I od treści wpływów, wypełniając kolejno strony zeszytu, aż do wyczerpania wszystkich paragrafów wpływów. Dla orientacji należy przy tym u góry każdej strony wypisać tytuł „Wpływy".

Ostatnią stronę wpływów należy podsumować w kolumnie 5 formularza, zawierającej wyrzucone wpływy z poszczególnych paragrafów. W ten sposób podsumowanie kolumny 5 da nam sumę wszystkich preliminowanych wpływów budżetowych. Kolumny 4, zawierającej wpływy z poszczególnych pozycji w ramach paragrafów, sumować nie należy.

Wydatki budżetowe należy zacząć wpisywać od nowej strony zeszytu, wypisując znów kolejno paragrafy i pozycje wydatków, zaopatrując każdą kolejną stronę u góry w tytuł „Wydatki", wpisując przy tym poszczególne kwoty i ogólne podsumowanie, według zasad podanych dla strony wpływów.

Jak widać na podanym wzorcu, w kolejnych kolumnach formularza wpisuje się:

W kolumnie 1: kolejny numer paragrafu; zachowuje się przy tym osobną numerację paragrafów strony wpływów i wydatków.

W kolumnie 2: kolejną małą literę pozycji w ramach każdego paragrafu, o ile schemat przewiduje podział paragrafu na pozycje.

W kolumnie 3: tytuł paragrafu na wysokości wpisanego w kolumnie 1 numeru paragrafu. Tytuł ten należy, dla większej przejrzystości tekstu, odpowiednio wyróżnić przez podkreślenie lub odmienne pismo.

§	Pozycja	Treść	Złote	
1	2	3	4	5
1		SKŁADKI CZŁONKOWSKIE 30 członków po 12.000 zł rocznie		360.000
2		WARTOŚĆ ZWIERZYNY		260.000
	a	**Zwierzyna upolowana** 300 zajęcy po 500 zł	150.000	
	b	**Sprzedaż zwierzyny żywej** 50 zajęcy po 2.000 zł	100.0 0	
	c	**Inne** 1) Odebrane kłusownikom 10 zajęcy po 500 złotych 5.000 2) Postrzałki zebrane po polowaniach 10 zajęcy po 500 zł 5.000	10.000	

Tytułu paragrafu nie należy w żadnym wypadku zmieniać.

Pod tytułem paragrafu wypisuje się tytuł pozycji budżetowej na równej wysokości z literą pozycji podaną w kolumnie 2. Tytuł pozycji jest również usankcjonowany schematem i nie należy go zmieniać, przekręcać lub skracać.

Pod tytułem każdej pozycji, a w paragrafach, których schemat nie dzieli na pozycje, pod tytułem paragrafu, wypisuje się właściwą treść preliminowanych wpływów i wydatków. Poszczególne wpływy lub wydatki oznaczono kolejną numeracją arabską, którą rozpoczyna się od jedności w ramach każdej pozycji budżetowej lub każdego paragrafu, jeśli schemat nie przewiduje podziału paragrafu na pozycje.

Treść kolumny trzeciej preliminarza, a ściślej mówiąc ,treść sformułowania poszczególnych preliminowanych wpływów lub wydatków, decyduje o wartości preliminarza, zarówno pod względem merytorycznym ,jak i formalnym. Sformułowania te winny być krótkie, jasne i dostatecznie ściśle, uzasadniające rodzaj i wysokość preliminowanego wpływu lub wydatku. Np., podając preliminowaną kwotę ze sprzedaży ubitej zwierzyny, należy wymienić rodzaj zwierzyny, spodziewaną ilość i cenę. Bez tych elementów projektowana kwota nie będzie przekonywująca, jak również nie da podstawy do samokontroli wykonawcy budżetu i możności wykorzystania okresu ubiegłego, jako materiału dla udoskonalenia przewidywań przy budżetowaniu na okresy następne.

W kolumnie 3 wypisuje się również kwoty poszczególnych wpływów lub wydatków wewnątrz jednej pozycji budżetowej, jak to zaznaczyłem na przykładzie.

W kolumnie 4: sumę wszystkich wpływów lub wydatków preliminowanych w ramach jednej pozycji budżetowej.

W kolumnie 5: sumę wszystkich wpływów lub wydatków preliminowanych w ramach jednego paragrafu. W ten sposób globalna kwota jednego paragrafu preliminarza budżetowego, wypisana w kolumnie 5, musi być równa sumie kwot poszczególnych pozycji budżetowych, wypisanych w kolumnie 4 danego paragrafu.

W kolumnie 5 na zakończenie strony wpływów wypisuje się jeszcze kwotę niedoboru budżetowego, ewentualnie po stronie wydatków kwotę nadwyżki budżetowej, w wypadku, jeśli budżet nie jest zrównoważony, wreszcie wypisuje się podsumowanie wszystkich kwot wypisanych w kolumnie 5, osobno dla strony wpływów i osobno dla wydatków.

Przez wpisanie kwoty niedoboru budżetowego po stronie wpływów, ewentualnie nadwyżki po stronie wydatków, otrzymuje się zawsze podsumowanie obu stron preliminarza budżetowego w jednakowych bilansujących się sumach. Jest to zasada formalna, obowiązująca według przepisów księgowości

Po omówieniu strony formalnej opracowania preliminarza budżetowego musimy przejść do rzeczy najbardziej istotnej, do jego treści.

Jak już wspomniałem wyżej, treść tę w moim projekcie dzielę zarówno po stronie wpływów, jak i wydatków na paragrafy, a niektóre paragrafy na pozycje. Treścią paragrafu obejmuję wielki dział wpływów lub wydatków, dostatecznie jasno i zdecydowanie odróżniający się swym charakterem od innych. Jeśli dział taki jest wewnętrznie bardziej zróżniczkowany rodzajowo, stosuję podział takich paragrafów na pozycje, pozostawiając budżetującemu swobodę operowania poszczególnymi sformułowaniami wpływów i wydatków dopiero w ramach pozycji budżetowej.

Dla dostatecznego zorientowania czytelnika w całości proponowanego schematu i myśli przewodniej jego konstrukcji, podam najpierw całość tytulatury paragrafów i pozycji, a następnie przejdę do szczegółowych wyjaśnień:

W P Ł Y W Y

§ 1 Składki członkowskie.
§ 2 Wartość zwierzyny:
- a. Zwierzyna upolowana.
- b. Sprzedaż zwierzyny żywej,
- c. Inne.

§ 3 Zwrot kosztów polowań.
§ 4 Dotacje.
§ 5 Inne wpływy:
- a. Nadzwyczajne opodatkowanie członków,
- b. Kary, opłaty na polowaniach itp.,
- c. Imprezy,
- d. Różne.

W Y D A T K I

§ 1 Dzierżawa terenów łowieckich:
- a. Tenuty dzierżawne,
- b. Podatki,
- c. Opłaty skarbowe, koszty prawne itp.

§ 2 Administracja:
- a. Straż łowiecka,
- b. Inny personel administracyjny,
- c. Koszty kancelaryjne,
- d. Podróże,
- e. Pomieszczenia,
- f. Utrzymanie psów.

§ 3 Zagospodarowanie:
- a. Pólka łowieckie, remizy,
- b. Dokarmianie,
- c. Sztuczny wychów zwierzyny,
- d. Odświeżanie krwi, aklimatyzacja,
- e. Konserwacja urządzeń hodowlanych.

§ 4 Ochrona:
- a. Zwalczanie szkodników,
- b. Nagrody za wykrycie przestępstw łowieckich,
- c. Opieka lekarska,
- d. Konserwacja urządzeń ochronnych.

§ 5 Eksploatacja:
- a. Koszty polowań,
- b. Odłów zwierzyny dla celów handlowych,
- c. Konserwacja urządzeń eksploatacyjnych.

§ 6 Wartość upolowanej i zabranej przez myśliwych zwierzyny.

§ 7 Inwestycje:
- a. W nieruchomościach,
- b. Urządzenia hodowlane i ochronne w łowiskach,
- c. Ruchomości.

§ 8 Odszkodowania.
§ 9 Imprezy.
§ 10 Różne.
§ 11 Amortyzacja.

Przechodząc z kolei rzeczy do wyjaśnienia poszczególnych tytułów paragrafów i pozycji, według podanego wyżej schematu, zatrzymamy się tylko przy tych paragrafach i pozycjach, których sens i znaczenie będą wymagały pewnego komentarza.

Rozpocznijmy od działu wpływów budżetowych.

Dział ten z natury rzeczy jest mniej rozbudowany niż dział wydatków, ponieważ wpływy kółek łowieckich przedstawiają stosunkowo małą rozmaitość źródeł pochodzenia. Na czele tych wpływów, w dzisiejszych warunkach gospodarki kółek, postawić należy składki członkowskie .W racjonalnie zagospodarowanym łowisku musiałby wysunąć się na czoło § 2 wpływy, tj. dochody przynoszone przez gospodarkę łowiecką . Może nawet zaistniałaby możliwość zredukowania § 1 do zera, tj zapewnienie samowystarczalności łowiska, oczywiście, przy założeniu, że pozyskiwana w nim zwierzyna wartością swą byłaby zaliczana na dobro budżetu gospodarstwa, jak to już tłumaczyłem wyżej.

§ 2 strony wpływów budżetowych obejmuje całość dochodów z łowiska, tak w formie zwierzyny ubitej, jak też odłowionej i sprzedanej dla dalszej hodowli, wreszcie zwierzyny pozyskanej przypadkowo i spieniężonej na dobro kółka, jak: zwierzyna odebrana kłusownikom, pochodząca z odstrzału selekcyjnego, dokonanego we własnej administracji; postrzałki odnalezione po polowaniach itp.

§ *3* stanowi właśnie wyodrębnione osobno koszty polowań, które, w powszechnie u nas panujących warunkach, są ponoszone przez myśliwych w zamian za zabieraną zwierzynę, i które bilansują się z § 5 pozycji a., strony wydatków budżetowych.

§ *4* obejmuje wszelkie dotacje, uzyskiwane przez kółko na cele gospodarki łowieckiej na jakichkolwiek warunkach. Ten paragraf wpływów stanie się aktualny w wypadku powołania do życia Funduszu Łowieckiego, który w programie swej działalności miałby subsydiowanie działalności hodowlano-łowieckiej kółek łowieckich.

W tym paragrafie również należy preliminować ewentualne dotacje czy subsydia Polskiego Związku Łowieckiego na określone cele działalności kółka, dotacje Związku Kynologicznego w Polsce i inne.

§ 5. W tym paragrafie wyjaśnienia wymaga pozycja c., — zatytułowana „Imprezy". Mam tu na myśli wszelkiego rodzaju dochody z imprez, jak: zawody strzeleckie, wystawy, pokazy, zabawy itp., urządzane przez kółko, z przeznaczeniem dochodu na potrzeby jego gospodarki łowieckiej. W paragrafie tym należy preliminować dochody brutto. Wydatki związane z urządzeniem takich imprez są znów zaprojektowane w § 9 wydatków budżetowych. Preliminowanie zarówno wpływów, jak i osobno kosztów związanych z imprezami, wydaje się praktyczniejsze, tak ze względu na realizm przewidywania, jak na ewentualność deficytowości poszczególnych imprez.

Strona wydatków budżetowych jest znacznie dokładniej rozspecyfikowana, zarówno w liczbie paragrafów, jak i w wewnętrznym ich rozbiciu na poszczególne pozycje. Na pierwszy rzut oka już staje się jasne, że wydatki kółka łowieckiego przedstawiają znacznie szerszy i różnorodniejszy wachlarz w porównaniu z wpływami.

Odróżnia się wyraźnie grupa paragrafów o charakterze wydatków administracyjnych, druga o charakterze wybitnie techniczno-gospodarczym, wreszcie trzecia grupa spraw gospodarowania majątkiem i operacji finansowych. Tak też zostały w zaprojektowanym schemacie zgrupowane poszczególne paragrafy.

Przechodząc do poszczególnych paragrafów zatrzymajmy się na § 2, który obejmuje całość wydatków, związanych z administracją gospodarstwa łowieckiego. Powinien on obejmować wszystkie koszty osobowe i rzeczowe administracji łowiska.

Można by w paragrafie tym kwestionować pozycję f. „Utrzymanie psów". Mam tu na myśli psy myśliwskie, utrzymywane w łowisku, stanowiące własność kółka i używane dla celów hodowlano-łowieckich, więc np. posokowce, wyżły kontynentalne dla pracy za postrzałkiem i dla tępienia szkodników. Zgodziłbym się z twierdzeniem, że w zależności od charakteru użycia tych psów — koszt ich utrzymania winien może znaleźć się w § 4 lub § 5 wydatków. Jednakże, ponieważ użycie psa ma przeważnie charakter, z punktu widzenia gospodarki w łowisku, wielostronny, a pies ten jest w pracy swej przeważnie związany z pracą terenowego personelu łowieckiego, więc nie chcąc komplikować sprawy, zaliczam całą omawianą kategorię wydatków na § 2.

§ *3* jest z natury rzeczy dość silnie rozspecyfikowany, aż na 5 pozycji. Pewnego komentarza wymaga tu pozycja c. „Sztuczny wychów zwierzyny". Nie będę twierdził, że tytuł ten jest najfortunniej wybrany, jednakże musi on dostatecznie szeroko obejmować treść pod nim zawartą. Mam tu na myśli wszelkie zabiegi, stosowane przez hodowców dla dopomożenia naturze w rozmnożeniu pogłowia zwierzyny, więc od domowego wylęgu wykoszonych gniazd kuropatew czy bażantów, aż do własnych bażantarni i parków zajęczych.

Rzecz oczywista, że w tym ostatnim wypadku, przy racjonalnie ekonomicznym traktowaniu przedsięwzięcia, prowadzenia np. bażantarni, wymagałoby opracowania dla niej własnego budżetu, jeśli właściciel chciałby wiedzieć, ile go ta impreza w rzeczywistości kosztuje i w jakim stopniu obciąża budżet całości gospodarstwa łowieckiego, ewentualnie jakie mu przynosi czyste dochody.

W takim też wypadku do § 3 pozycja c. ogólnego budżetu gospodartswa łowieckiego, weszłaby jedynie kwota netto ewentualnego deficytu budżetu bażantarni, ewentualnie do § 2 pozycji b. wpływów kwota netto czystego zysku z tego budżetu.

W treści pozycji e. „Konserwacja urządzeń hodowlanych" omawianego § 3 wydatków, umieściłbym wszelkie koszty konserwacji, napraw, drobnych uzupełnień i w ogóle utrzymania w stanie użytkowym wszelkich urządzeń i sprzętu, związanych z wykonywaniem czynności gospodarczych, przewidzianych w § 3 wydatków.

Tak samo rozumieć należy treść pozycji d. w § 4 i pozycji c. w § 5 wydatków.

Budowa urządzeń trwałych lub zakup nowego sprzętu w tym zakresie, jak i remonty kapitalne, powinny być odniesione, zgodnie z ogólnie obowiązującą zasadą, na § 7 i odpowiednią do charakteru urządze-

nia czy sprzętu pozycję tego paragrafu wydatków, jako inwestycje.

§ *4* obejmuje całość kosztów, związanych z ochroną zwierzostanów. Chciałbym tu zwrócić uwagę na pozycję a. „Zwalczanie szkodników“, gdzie powinny być uwidocznione kwoty strzałowego dla straży łowieckiej, koszty masowego zwalczania szkodników, jak np. wron itp.

Nagrody za wykrycie przestępstw łowieckich, zarówno dla własnej straży łowieckiej, jak i osób postronnych — jako rzecz szczególnie ważna dla wyników gospodarki w łowisku — wyodrębniono w osobną pozycję b., aczkolwiek przyznać należy, że jest ona bardzo pokrewna rodzajowi wydatków, objętych pozycją a.

Wreszcie pozycja c. tego paragrafu „Opieka lekarska“, obejmuje koszty zwalczania epidemii, akcję zapobiegawczą o charakterze weterynaryjnym, ekspertyzy lekarskie zwierzyny padłej, zwierzyny importowanej itp.

§ 5 obejmuje koszty ostatniej fazy cyklu gospodarki w łowiskach, tj. koszty polowań, jako koszty pozyskania użytków z zagospodarowanego łowiska. Jest to w tym paragrafie pozycja zasadnicza, oznaczona literą a. Zaznaczyłem już kilkakrotnie wyżej, że ta kategoria kosztów jest, według panujących powszechnie u nas zwyczajów, ponoszona przez samych myśliwych i dlatego jest w moim wzorcu zbilansowana przez § 3 wpływów budżetowych. Tym niemniej, jak to starałem się już uzasadnić, takie ujęcie sprawy wydaje mi się nieodzowne.

§ *6*, obejmujący wartość upolowanej w łowisku i zabranej przez myśliwych zwierzyny, bilansuje się z § 2 pozycja a. strony wpływów budżetowych i wykazuje wysokość dochodów wygospodarowanych w łowisku i zawłaszczonych bezpośrednio przez jego użytkowników. Tym niemniej, jak to uzasadniłem również, dla pełnego obrazu opłacalności prowadzonej w łowisku gospodarki ,wartość ta powinna być w preliminarzu budżetowym uwidoczniona.

§ *8* powinien obejmować wszelkie odszkodowania, obciążające gospodarstwo łowieckie z tytułu szkód wyrządzanych przez zwierzynę, urządzeń i zabiegów, stosowanych w łowisku dla zapobieżenia tym szkodom, jak np. płoty, straszaki, patrolowanie itp., odszkodowania za szkody wyrządzone w związku z wykonywaniem polowania, jeśli nie obciążają one bezpośrednio winowajcy, ale są regulowane z budżetu koła, wreszcie w tym paragrafie powinny znaleźć się składki ubezpieczeniowe od szkód, wyrządzanych przez zwierzynę, jeśli ubezpieczenie takie będzie stosowane.

§ *9* obejmuje, jak wspomniałem wyżej, koszty brutto imprez urządzanych przez kółko łowieckie na rzecz swego gospodarstwa łowieckiego.

§ *11* obejmuje odpisy amortyzacyjne majątku nieruchomego i ruchomego kółka łowieckiego, który jest związany z gospodarstwem łowieckim, dla którego opracowany jest preliminarz budżetowy.

Wracając raz jeszcze na końcu do charakterystyki ogólnej przedstawionego w ten sposób wzorca preliminarza budżetowego kółka łowieckiego, chciałbym ponownie podkreślić znaczenie racjonalnego budżetowania dla zorientowania się w istotnym znaczeniu ekonomicznym i możliwościach opłacalnosci gospodarki łowieckiej.

Jest rzeczą dla przyszłości łowiectwa niesłychanie ważną, aby u podstaw jego racji bytu, obok argumentu emocjonalnego, stanął znacznie bardziej przekonywujący argument opłacalności ekonomicznej. O tym nikomu z nas myśliwych zapomnieć nie wolno.

Projekt mój dostosowałem do warunków powszechnie dziś panujących. O tym, jak w budżecie, opracowanym na zasadzie tego wzorca, zorientować się w stopniu opłacalności, a obecnie częściej — deficytowości naszego gospodarstwa — także już napisałem.

Wyjaśniam jeszcze raz krótko i w sposób nie wymagający żadnej spekulacji myślowej; ażeby na podsta wie tego budżetu zorientować się, ile nam daje nasze gospodarstwo lub też ile do niego kółko czy jego członkowie dokładają, należy:

1) po stronie wpływów budżetowych skreślić § 1, § 3, § 4 i § 5 pozycja a.,
2) po stronie wydatków budżetowych skreślić § 6,
3) tak skorygowaną każdą stronę budżetu podsumować .

Różnica obu sum da nam kwotę rzeczywistego zysku lub deficytu całej imprezy gospodarstwa łowieckiego.

Dla ścisłości winien tu jestem jeszcze Czytelnikowi małe wyjaśnienie. Pod sumą kosztów polowania, jakie powinny budżetowo obciążać gospodarstwo łowieckie, rozumiem wszystkie koszty urządzenia polowania w terenie, bez kosztów dojazdu myśliwych i kosztów amunicji. Wysokość tych kosztów, moim zdaniem, jak i według powszechnie panujących zwyczajów, powinna obciążać indywidualnie myśliwego, jako rekompensatę za przyjemność samego polowania, a więc powinna wchodzić do osobistego budżetu myśliwego razem z innymi kosztami polowania, jak: ubranie, broń, akcesoria. Polowanie bowiem w osobistym budżecie myśliwego musi być zawsze deficytowe i nie może być przez niego traktowane jako źródło dochodu.

Ekonomiczne znaczenie łowiectwa zaczyna się dopiero na gospodarce kółka łowieckiego, które może i powinno dążyć do możliwego potanienia kosztów polowania dla swoich członków, powinno dążyć do osiągnięcia ekonomicznej opłacalności łowiectwa dla gospodarki narodowej. Dlatego też kółko łowieckie ma, moim zdaniem, obowiązek stosowania w swej gospodarce ścisłej kalkulacji handlowej i wyraźnego notyfikowania zarówno strony „winien“, jak i strony „ma“ swej gospodarki.

ZBIGNIEW KOWALSKI

W sercu borów tucholskich

8 kwiecień 1949 r.

Pełne morze za Puckiem podsuwa się coraz bardziej ku biegnącej w stronę Łeby szosie, staje się co chwila widoczniejsze, błękitnieje coraz wyraźniej położoną wysoko, dla nieprzyzwyczajonego oka, linią horyzontu. Chmury zrazu niewielkie, strzępiaste, goniące się z rzadka jedna za drugą, pojawiają się nowe i nowe, mnożą się, mkną tabunami, aż wreszcie zaciągają szczelnie niebo przybrudzoną popielatą zasłoną. Zaczyna padać gęsty, co chwila rzęsistszy deszcz. Błękitnozielonkawe do niedawna morze sinieje pod ostrym i zimnym podmuchem wiatru, potem staje się ołowiane, zamglone, przykryte woalem przestrzeni, aż zlewa się w przydymionej dali z bezbarwnym, posiwiałym niebem.

Asfalt, zmytej deszczem drogi, nabiera świeżości, błyszczy spływającymi strugami, czerni się smołową powłoką. Zwalniamy zatem do czterdziestu, trzydziestu kilometrów na godzinę, gdyż Chevroleta, jak każda amerykańska maszyna, trzyma się mokrej szosy źle i zarzuca raz po raz. Powolutku, noga za nogą, mijamy Krokowo i Żarnowiec.

Jezioro, ścielące się za miastem, zagubione jest w mgłach i prawie niewidoczne poza zapoconymi szybami samochodu. W zatoce, podchodzącej do samego skraju szosy, woda burzy się, uderza wysoką falą o brzeg, wyrzuca na piasek żółtawą, podobną do surowej wełny, pianę. Zmierzcha się.

— Na dobitkę jeszcze taka pogoda — mówi dyrektor Winocki.

— Tak, wiedzie nam się od początku doskonale — dodaje kwaśno prezes Lestrzecki.

Ja milczę.

Rzeczywiście, zapeszony jest ten nasz wyjazd na głuszcowe toki. Do ostatniej chwili, wobec zapowiedzianego wyjazdu prezesa za granicę, nie wiedzieliśmy czy wyprawa w ogóle dojdzie do skutku. A kiedy okazało się, że prezes zostaje w Warszawie, odnowiło mi się, jak co wiosny, zapalenie stawu w nodze.

Na 48 godzin przed wyjazdem leżałem jeszcze w łóżku. Następnie...

Następnie nie mogliśmy znaleźć Nadleśnictwa Chociszewo, gdzie przydzielony był odstrzał kogutów dla prezesa i dla mnie.

Nadleśnictwo Chociszewo, według informacji otrzymanych z miarodajnego źródła w Warszawie, miało leżeć przy szosie Chojnice — Bytów, na odcinku położonym poza dawną granicą polsko - niemiecką i niedaleko Nadleśnictwa Szyszkowo, gdzie zakupił głuszca trzeci nasz towarzysz Winocki. Zdawało by się więc, że po tak dokładnym podaniu marszruty nie powinno być trudności w trafieniu na miejsce.

Tymczasem dojechaliśmy do Bytowa, nie dostrzegając nigdzie żółtoczarnej tabliczki z wypatrywanym napisem Chociszewo. Prezes zdecydował więc zawrócić i, wypytując po drodze miejscowych ludzi, dobrnąć do poszukiwanego nadleśnictwa.

Na pięknie wyważonej, biegnącej skroś lasów po wysokim nasypie i oparkanionej białymi słupkami autostradzie, spotkaliśmy szczęśliwie pedałującego na rowerze leśnika.

— Daleko stąd do Nadleśnictwa Chociszewo?

— Chociszewo? Nie słyszałem o takim nadleśnictwie. Może panowie pomylili nazwę?

Choć wiem, że słowo Chociszewo wbiło mi się w pamięć głęboko podczas kilkakrotnego odczytywania pisemka ministerialnego, raz jeszcze wyciągam żółty papierek, bo może a nuż...

— Chociszewo — powtarzam.

— Chociński Młyn jest, Przymuszewo jest, ale o Chociszewie nie słyszałem.

Ruszamy dalej. Szosa wije się teraz sosnowymi, ubogimi lasami, potem przecina jałowe pola i znów tonie w rozległych suchoborach. Mijamy niewielką osadę Rekowo. Na zniszczonym wojną rynku szofer nagle przyhamowuje. Chevroleta zatrzymuje się przed żółtawym, brzydkim budynkiem urzędu pocztowego.

— Może by się tu panowie coś dowiedzieli.

— Dobra myśl.

Dyrektor wraca z głębi domu po kilku minutach, ale minę ma dziwnie kwaśną. I patrzy na mnie jakby trochę ironicznie.

— Dostałem adres. Chociszewo leży między jeziorem Żarnowieckim a Łebskim.

— Gdzie?

— Nad samym morzem, głupie 180 kilometrów od Rekowa.

— Co za żarty pan robi.

— Niestety...

Krótka narada trwa długie pół godziny. Zdania są mocno podzielone, większość radzi powrót do Warszawy. Decydujemy jednak, jak to często bywa, w myśl przekonań elokwentnej mniejszości i ruszamy do Sopot, by z tamtejszymi, dla odmiany, czynnikami miarodajnymi uzgodnić miejsce zakupionych do odstrzału głuszców z dokładnością choćby do 30 kilometrów.

Otrzymane w Sopocie informacje, poza ścisłym szkicem „drogi docelowej", były mętne i nie budzące zaufania.

— Głuszce jeszcze nie tokują.

— To znaczy, że ich tam nie ma.

— Są, ale toki na dobre rozpoczynają się dopiero po 26 kwietnia.

— Wykluczone.

— Jednak tak jest, proszę panów. Klimat mamy tu na wiosnę ostry i zmienny.

Jedyna wiadomość, która nas nieco pociesza, to ta, że w Chociszewie, a właściwie w leśnictwie Obosieczna, oczekują naszego przyjazdu, chodzą na zapady, wysłuchują pieśni głuszcowej o świcie i w ogóle mają nam ułatwić, dołożyć starań itd.

. . . .

Nic zatem dziwnego, że psująca się coraz bardziej pogoda warzy nasze humory ostatecznie. Większość zaczyna się znów buntować, pomrukując groźnie i chcąc zawracać z powrotem. Mniejszość, czyli ściśle mówiąc — ja, nadrabiam miną, ale wyraz mojej twarzy nie musi wyglądać w tej chwili zbyt przekonywująco. Szczęśliwie jest już prawie ciemno, więc może moi towarzysze nie dopatrzą się niewiary, która niewątpliwie maluje się teraz w moich oczach.

Mokre od deszczu pnie drzew, którymi obsadzona jest droga, lśnią, jakby pociągnięte świecącym lakierem. Światła far toną w czarnym asfalcie szosy, jakby w głębokiej rzece. Jedziemy prosto ku morzu.

Do wybrzeża musi już być niedaleko, gdyż wjeżdżamy w strefę graniczną. Na prawo miga raz po raz jaskrawe oko latarni morskiej. Żółtawy odblask innej, dalekiej, odpowiada krótkimi, przyziemnymi błyskami, jak zapalająca się na ułamek sekundy łuna pożaru.

Po dłuższym błądzeniu jakby w wymarłej czy uśpionej w potokach deszczu kaszubskiej wiosecce, dobijamy do leśniczówki.

Leśniczówka, zbudowana z czerwonej cegły, z zielonymi okiennicami, stojąca na wprost starego gotyckiego kościoła, pośrodku osady oświetlona elektrycznością, w niczym nie przypomina budanu, kurenia czy sczerniałej od starości chaty osacznika, stanowiącej przystań dla myśliwego w czasie toków.

Leśniczy, choć nieco przestraszony niespodziewanym najazdem i pomimo solennych zapewnień czynników miarodajnych, nic nie wiedzący o tym najeździe, jednym zdaniem rozprasza nasze wątpliwości i każe się szeroko uśmiechnąć zasępionym twarzom gości.

Bowiem na pierwsze nieodmienne takie same pytanie, które spragniony przygód łowca musi zadać zaraz po przyjeździe na miejsce polowania:

— A jak tam z głuszcami, panie leśniczy? — zapytany stuka służbiście obcasami i recytuje:

— Grają już, dobrze grają.

Jednocześnie z tymi słowami zdaje się jakby deszcz kończył popadywać, wiatr cichł w konarach na-

gich jeszcze drzew, a niebo przecierało się pięknie.

— A dużo tu macie kogutów?

— Będzie wyżej dziesięciu.

— No widzicie niewierni Tomasze — rzuca mniejszość z wyraźną nutą zadowolenia w głosie.

— Wszystko dobre, co się dobrze kończy — kapituluje, przysłowiem na przysłowie, w imieniu większości dyrektor.

— Chodźmy się w takim razie zagospodarować — mówi prezes.

Na te słowa leśniczy znów przybiera postawę zasadniczą i melduje:

— Muszę jednak zaznaczyć, że nic nie wiedząc o przyjeździe panów...

— Głupstwo, prześpimy się na słomie... — przerywa mu Lestrzecki.

— Nie zdążyłem jeszcze — kończy leśniczy — postawić budek...

Deszcz leje znów jak z cebra, wiatr smaga po twarzy i szarpie jakimś zagubionym okienkiem w ciężkim, ciemniejszym niż noc, masywie kościoła. Prześwitujące już w naszej wyobraźni między chmurami — gwiazdy, zamieniają się w wielkie krople wilgoci zawisłe na sczerniałych gałęziach starych kasztanów nad drogą.

Cóż robić? kładziemy się spać. Ale sen jakoś długo przyjść nie chce. Może dlatego, że deszcz bębni po blaszanym dachu monotonnie, beznadziejnie i dzwoni w rynnach bez przerw. Może dlatego, że raz po raz zalewa izbę i sunie śpiesznie po ścianach różowe światło latarni morskiej.

9 kwietnia 1949 r.

O 7 rano opuszczamy Obosieczną. Strzępiaste chmury płyną dziś po lazurowym niebie pojedyńczo, są coraz mniejsze, stają się z sinawych popielate, potem czysto białe.

Wizyta w Nadleśnictwie Chociszewo trwa krótko. Nastrój jest kwaśny.

— Głuszców w moim nadleśnictwie nie ma. Owszem, w zeszłym roku strzelono w Chociszewie dwa koguty, ale tereny tokowiskowe, wraz z większymi kompleksami lasów, przeszły do innego, nowoutworzonego Nadleśnictwa Siekierka. I tam toki się już rozpoczęły.

— To może byśmy się tam mogli przenieść?

— Niestety, o ile wiem, odstrzały zostały tam już sprzedane, więc...

Trzaskają drzwi w samochodzie, może odrobinę za głośno. Ruszamy w kierunku Sopot i prawdopodobnie Warszawy.

Jedziemy ostro, aż woda, ze stojących na drodze kałuż, rozpryskuje się daleko, aż poza burty szosy.

Jezioro Żarnowieckie, wczoraj groźne i burzliwe, wygładza i ucisza dzisiaj cichy, pociągający od rana z południa wiaterek. Lasy wejherowskie na kopulastych wzgórzach nadbrzeżnych dymią na pogodę, jakby setka dalekich pożarów. Morze jeszcze dalsze, widoczne hen, aż z poza karwińskiej depresji, uśmiecha się znów odbiciem błękitnego nieba.

Ostatnie chmurzyska pozostają za nami, giną. Do Sopot dobijamy wraz z piękną, słoneczną pogodą.

Miejscowa właściwa władza bardzo mało wzrusza się naszymi przygodami, gdyż udzielając łaskawej audiencji nie przerywa nawet podpisywania skromnej sterty papierów. W wyniku dłuższej dyskusji salomonowym wyrokiem dostajemy z prezesem Lestrzyckim jednego koguta na dwóch w Nadleśnictwie Szyszkowo, gdzie ma przyznany odstrzał głuszca Winocki.

*

Kiedy po dłuższym błądzeniu leśnymi drożynami zatrzymujemy się wreszcie przed leśniczówką w Sośniczu, ostatnie trzy cyfry licznika przebiegu kilometrów przekręcają się powoli na 610.

Taką samą końcówkę pokazywał licznik wczoraj przed Bankiem Gospodarstwa Krajowego w Warszawie. A więc dla dojechania do miejsca polowania, do właściwego miejsca, musieliśmy zrobić okrągło 1.000 kilometrów, co, przeliczając na benzynę, wynosi... Nie, lepiej zaniechajmy tego rachunku, bo boję się, że po ostatecznym przesumowaniu tegoroczny głuszec będzie bardzo kosztownym głuszcem. O ile w ogóle będzie.

Rozmowa z miejscowym leśniczym, młodym i dość surowym jeszcze człowiekiem, budzi jednak pewną nadzieję.

— Cóż! Głuszce są w całym nadleśnictwie. Chodząc po lesie często się je spotyka, ale czy tokują i gdzie tokują, zupełnie się nie orientuję. Zresztą, prawdę mówiąc, nie wiem nawet jak brzmi głos głuszca.

— Czy nie ma tu jakiegoś starego Kaszuba, który by jako woźnica czy robotnik leśny przebywał przed wojną z myśliwymi w lesie?

— Nie widzę takiego.

— A może zna pan miejscowego gospodarza, o którym wiadomo, że był kłusownikiem?

— O takim też nie słyszałem.

— W takim razie czy nie widział pan miejsc, gdzieby głuszce w marcu na śniegu czy piaszczystych dróżkach rysowały końcami skrzydeł bruzdy, bądź zostawiały wiele krzyżujących się ze sobą śladów.

— Owszem widziałem w oddziale 258, nie 259.

— A czy w pobliżu tych miejsc nie spotyka się pod wyższymi sosnami rozrzuconego wokół drzewa pomiotu głuszcowego?

— Nawet bardzo często, wygląda to tak, jakby nocujący ptak przesiadał się na jedną, drugą czy trzecią gałąź.

— W takim razie ruszamy na zapady.

Niestety, tylko prezes ruszył do 259' oddziału na podsłuchy. Winocki bowiem pomaszerował zasięgnąć języka w sąsiednim leśnictwie, a ja położyłem się, z bolącą znów nogą, do łóżka.

10 kwiecień 1948 r.

Wracamy lasem skąpanym w księżycowym świetle aż do przesytu. Jasno jest w kniei jak w dzień. Droga rysuje się pod nogami wyraźnie odbiciem kolein i wężykiem wydeptanej butami ścieżki. Stopy grzęzną prawie bezgłośnie w piasku sypkim, ledwo szeleszczącym przy stąpnięciu.

Cisza panuje w lesie niczem nie zakłócona. Jedynie gdzieś daleko na szosie terkocze motocykl. Ale i ten głos po chwili milknie. Gwiazdy mrugają z wysokiego nieba złote, srebrzyste, różowawe i błękitne. Pociąga lekki mrozik. Pogoda zapowiada się piękna.

Tak jak zmieniła się pogoda tak też nagle i całkowicie odwróciła się karta naszych niepowodzeń. Bowiem już wczoraj w miejscu określonym przez leśniczego jako sypialne drzewo głuszcowe, zasadził prezes Lestrzecki koguta i podskakiwał go rankiem. Zaś dzisiaj on wysłuchał dwa a ja, dzięki mapce otrzymanej od d-ra Łukowicza w Chojnicach, aż trzy przesiadające się, krekczące i klapiące ptaki.

Droga wznosi się nieco do góry. Przez drzewa prześwituje jezioro, już niedaleko do leśniczówki.

— Dobry miał pan pomysł z tą jazdą do Chojnic — mówi Lestrzecki.

— Wiedziałem, że doktor musi znać tu wszystkie okoliczne łowiska. Traf zrządził, że właśnie nasze Szyszkowo dzierżawił przez lat dwadzieścia i zna najlepiej.

— Ale tak na sztabowej mapce wszystko wyrysować, to już duża sztuka.

— Nie byle jaki myśliwy to robił, panie prezesie.

Droga zbiega karkołomnie w dół. Od jeziora ciągnie trochę wilgotny, trochę słonawy, ożywczy powiew. Okna leśniczówki świecą znajomym, ciepłym, żółtawym światłem.

11 kwiecień 1948 r.

Mrozu 4 stopnie. Wiatru ani krzyny, cisza w lesie jak makiem siał. Księżyc schował się już poza czarną ścianę lasu, gwiazdy, jak zwykle przed świtem, płoną coraz jaśniejszym i żywszym ogniem.

Droga leśna, poprzerzynana liniami oddziałowymi, biegnąca wzdłuż zrębów, skroś zagajników, czy brzegiem starodrzewia, jest tak charakterystyczna i łatwa do zapamiętania po wczorajszym marszu na zapady, więc choć wędruję nią w nocy samotnie, po raz pierwszy



bez trudu trafiam do skrzyżowania duktów przy 222 oddziale. Lekki chłód pociąga od jeziora Nierybno, nad którym obsadziłem wczoraj trzy koguty.

Głuszce te zapadły wygodnie nad samą przesieką tak, że podejście do najbliżej zasadzonego ptaka duktem jest dziecinnie łatwe. Co prawda, to podchodzenie lasem nie przedstawiałoby również większych trudności, bowiem głuszce obrały sobie na tokowiska w Szyszkowie miejsca, choć typowe dla tutejszego krajobrazu, ale zupełnie różne od oglądanych dotychczas wiosennych terenów godowych tego królewskiego ptaka w Białowieży czy na Suwalszczyźnie.

Wokół ciągnie się bór sosnowy, suchy, czterdziestoletni, o podłym zwarciu, licznych bezdrzewnych, piaszczystych górkach i haliznach pośrodku. Ziemię zaściela szczelnie reniferowy mech.

Posuwam się powoli naprzód, robię dziesięć, dwadzieścia kroków, nadsłuchuję.

Ale koguty milczą uparcie, choć niebo na wschodzie zaczyna już prześwitywać seledynem i złotem, a drzewa, pnie i gałęzie, a nawet poszczególne kiście igieł, zamglone dotychczas mrokiem, nabierają na tle zorzy ostrych, wyraźnych konturów.

Po przejściu jeszcze kilkudziesięciu kroków zaczynają mnie ogarniać wątpliwości, czy przypadkiem nie zbłądziłem po nocy. Bo przecież zasadzone głuszce grać muszą, bo przecież do najbliższego koguta nie powinno być dalej niż sto kroków.

A jednak nie zmyliłem drogi, rozwichrzona w koronie sosna wydaje mi się być znajoma, a tamta znów o podwójnym pniu przypomina do złudzenia inną, pod którą siedziałem wczoraj na podsłuchach.

Więc jeszcze naprzód, jeszcze parę kroków, byle ostrożnie i bezszelestnie. Ale akurat w tym miejscu wrzosy są wyższe. Zesztywniałe od mrozu, kruche gałązki szeleszczą nieprzyjemnie, biją o cholewy, trzeszczą zbyt głośno. Trzeba stanąć.

I nagle . . . nie, jeszcze nie wierzę. Bo tak często przecież wybija w uszach zasłuchanego myśliwego werbel głuszcowej pieśni pulsująca w tętnicach krew.

Ale nie, to nie przywidzenie. Kogut gra — gra znowu i jeszcze.

Daję trzy długie, posuwiste kroki. Jeszcze kilka pieśni i po ostatnim stąpnięciu dobiega uszu ostre, syczące zakończenie pieśni. Jest już niedaleko. Zaczynam wypatrywać po drzewach.

— Ech! Ech! Ech! — podrzuca mnie nagle i oblewa zimnym potem niespodziewany, tuż o kilkanaście kroków rozgłośny szczek rogacza. Tupocą w mroku podwójne, sprężyste skoki spłoszonego zwierza. Głos trwogi, powtarzany przez kozła raz po raz, budzi echa po lesie, niesie się daleko i szeroko. Słychać, że rogacz przecina kultury, oznajmia się w następnej kulisie, usuwa coraz dalej w głąb kniei, aż milknie.

Milknie też i mój kogut. Milknie na długo i choć jeden i drugi leśny ptaszek zaczyna kwilić i pogwizdywać w drzewach, witając nadchodzący dzień, a wietrzyk przedranny przebiega bezszumnie ponad konarami drzew, czuję, że ten głuszec grać już dzisiaj nie będzie.

Wycofuję się zatem ostrożnie spod nie zrywającego się szczęśliwie koguta krok po kroku. Udaje mi się to jakoś szczęśliwie.

Spadłe poniżej kursu akcje dnia dzisiejszego nabierają znów wartości. A nawet zaczyna się lekka hausse.

Jeszcze kilka kroków po trzaskającym pod nogami, zdradliwym posuszu i trzeszczących, ukrytych w mchu szyszkach. Zatrzymuję się na piaszczystej górce.

— Jeżeli go w tej chwili nie posłyszę, to... — biegnie mi przez głowę uporczywa myśl.

I posłyszałem. Droga do grającego pieśń po pieśni ptaka, była równa jak po stole, wiodła nieledwie zamiecioną, niby parkową ścieżyną. Później przekonałem się, że stanowiła ona jedną z drożyn, przygotowanych przez niemieckich jeszcze leśników do podchodów głuszcowych.

Po paru minutach czuję już koguta tuż przed sobą. Jeszcze trzy kroki do tej rozłożystej, przypominającej krzak jałowca, sosenki. Spoza niej będę mógł strzelać.

— Tek, tek, tek, — tek, te — tek!

Z końcem trelowania stawiam pierwszy krok, wysuwając się spoza grubego pnia. Jednocześnie w środku pieśni głuszec urywa tak nagle, jak wyłączony raptownie głośnik radiowy.

I milczy. Trwamy tak dobre pół godziny, ja w niebardzo wygodnej, jakby pochylonej do biegu postaci, głuszec równie nieruchomy, bojący się zdradzić choćby najmniejszym ruchem swe ukrycie w koronach drzew.

Czy jednak ten ciemniejszy, smukły kształt na najbliższej krzaczastej sośnie, do której chciałem właśnie doskoczyć, to nie jest przypadkiem głuszec?

Chyba nie, jest zbyt blisko, żebym się mógł pomylić. A jednak wyraźnie rysuje się, jakby wzniesiona nieco głowa, wydłużona szyja. Nie. A może...

— Niech się dzieje co chce.

Powolutku dźwigam lornetkę do oczu. Kieruję szkła na intrygującą mnie plamę... Całą szerokość soczewki od brzegu do brzegu zapełnia czarny kontur ptaka.

Głuszec siedzi nieruchomy, jakby wypchany, wachlarz i skrzydła ma złożone, szyję zcieniałą.

Jakim sposobem ten zwariowany kogut nie zauważył ruchu, kiedy puszczałem szkła na pasek, zdejmowałem strzelbę z ramienia i składałem się do niego, zrozumieć ani rusz nie mogę. W każdym razie nie zauważył nic. Bowiem do drzewa, pod którym leżał łopoczący skrzydłami po strzale, odliczyłem wszystkiego 12 kroków.

Z dużą ciekawością oglądałem pierwszego, ubitego w życiu w środkowej Polsce głuszca. Na oko różnił się on od białowieskich czy augustowskich sztuk wielkością, dłuższym chyba promieniem wachlarza i mniejszą ilością białych centek na brzuchu.

Różnił się też od swych rojstowych pobratymców nieco samą pieśnią, ale to zrozumiałem dopiero wówczas, gdy wracałem ku leśniczówce.

Bojąc się zabłądzić, odczekałem, aż głuszce spadną na ziemię i wtedy dopiero tą samą drogą, którą przybyłem, ruszyłem do domu. I wtedy też stało się dla mnie jasne, że pieśń obu podskakiwanych kogutów usłyszałem nie dalej, jak na sto, najwyżej sto dwadzieścia kroków, choć słuch mam doskonały, a ranek nie mógł być czystszy i spokojniejszy.

Zdałem sobie sprawę, że korkowanie tamtejszych głuszców jest zamazane, nie głośniejsze bynajmniej od poszczególnego klapnięcia.

Zważony później w leśniczówce kogut, zrównoważył 5 kg ciężarków.

Słońce wzeszło różowe i złote, rozświetlając wokół las piękny jak z bajki.

Sadź posrebrzyła bowiem sosny, pokryła wrzosowiska śnieżnym nalotem i zmechaciła brzozy bielutkimi igłami szronu.

Niebo przejrzyste, aż kąpie się w błękicie. Drozdy gwiżdżą w koronach drzew, a drobiazg leśny, ciesząc się słońcem, śpiewa i ćwierka radośnie po zagajeniach.

Powoli, nie śpiesząc się, wracam do Sośnicza. Ciężki kogut kołysze się na plecach jak wielkie, czarne wahadło. Słońce zaczyna przygrzewać. Rosa osiada na butach coraz obficiej, osędziałe drzewa nabierają z powrotem zieloności, sosny oliwkowej, świerki niebieskawej. Idę coraz wolniej, gdyż z ostatniego wzgórza jest już zupełnie blisko do skraju lasu. Jeziora, oblewające z obu stron leśniczówkę, uśmiechają się do błękitnego nieba lazurową taflą. Na leciutkiej fali bliższego płynie powoli, majestatycznie para łabędzi. Piękne białe ptaki zdają się być spłonione rumieńcem ledwo co wzeszłego słońca. Łabędzie kręcą wdzięcznie głowami na przesadnie długich szyjach. Nie okazując najmniejszego lęku przed człowiekiem odsuwają się bez pośpiechu na środek jeziora. A potem nikną w płowej ścianie trzcin u przeciwległego brzegu.

*

Towarzysze moi wracają bez strzału.

Ten sam rogacz, który spłoszył mojego pierwszego koguta, zepsuł tokowisko prezesowi Lestrzeckie-

mu. Dyrektorowi też się nie powiodło, gdyż trzy głuszce grały tuż koło siebie tak blisko, że spłoszone zerwały się do lotu gromadką.

*

Wieczorem, wobec odstrzelenia już koguta, zdecydowałem iść na słonki.

— Gdzie tu, panie leśniczy, są ciągi?

— Ciągów nie ma. Jak byłem nad morzem niedaleko Kołobrzegu, to tam często przelatywały nad wybrzeżem, wzdłuż plaży, ale w tych okolicach nie spotykam tych morskich ptaków.

W żaden sposób nie mogłem jednak wydobyć od leśniczego, który to z wedrujących nad Bałtykiem gatunków ochrzcił on mianem długodziobej słonki.

Wzbogaciwszy w ten sposób swe wiadomości ornitologiczne zdecydowałem ruszać na podsłuchy do sąsiedniego uroczyska Kopeckie, gdzie, według meldunku leśniczego Kalmusa, grało ubiegłego roku kilka głuszców.

Nad wieczorem zerwał się, niestety, wiatr, zachmurzyło się niebo. Drzewa szumiały w koronach zapowiedzią niepogody. Niosło się wyraźnie na deszcz, na trzydniówkę.

Zapady były też złe, obsadziłem zaledwie jednego koguta.

12 kwietnia 1948 r.

Na wstępie muszę zaznaczyć, że wszystie nazwy w tutejszej okolicy pokręciły mi się zupełnie. I tak leśnictwo, w którym nocuję wraz z prezesem Lestrzeckim, a nie leśniczy, nazywa się Kalmu- (?). Ten ostatni bowiem, przemiły zresztą inwalida bez nogi, przedstawia mi się:

— Kopecki.

Łatwo jest te pomyłki zrozumieć, jeśli zacznie się przemierzać okoliczne drogi samochodem bądź pieszo.

Najbliższe leśnictwa zwą się bowiem niezwykle, jak: Funka czy Mylof, a dojazd do Sośnicy od Chojnic wiedzie przez Męcikał, zaś od Bytowa przez Swornegacie (proszę sobie wyobrazić niesforne gacie).

Ale dość geografii.

Nocujemy u leśniczego Kopeckiego wygodnie a nawet z komfortem. Zbyt dużo tylko, jak dla warszawiaków, choć niezmiernie gościnnie narzucono nam na łóżko puchatych pierzyn.



Kiepskowato też wygląda aura za oknami. Ciepły deszcz, jak to było do przewidzenia, siąpi już od północy.

Kiedy wychodzimy przed dom, na świecie ciemno jest niby w piwnicy, nawet ziemi pod nogami nie mogę się dopatrzyć, a kierunek drogi znaczony jest między ścianami lasu ledwo, ledwo jaśniejszą smugą zachmurzonego nieba.

Idziemy więc powoli, szczególnie, że leśniczy Kopecki nie może na protezie pośpieszyć, poza tym droga nie jest daleka. Pięć minut po trzeciej jesteśmy na miejscu.

Pada coraz rzęsiściej, wiatr szumi w konarach sosen. Obsadzony głuszec milczy albo też głos jego pieśni ginie w pogwarze drzew i pluskaniu deszczu.

Stalibyśmy tak do białego dnia, czekając na rozpoczęcie pieśni przez tokującego już oddawna koguta. Gdyśmy się bowiem zaczęli posuwać naprzód, sądząc, że może głuszec przesiadł się po nocy, Lestrzecki psyknął, zatrzymując nas w miejscu. Jednocześnie i ja ułowiłem uchem pojedyncze klapnięcie, a potem całą pieśń.

Jak się później okazało głuszca tego usłyszeliśmy dopiero na 50 kroków (!), gdyż taką odległość wymierzyłem dokładnie od ścieżki, na której staliśmy do drzewa, gdzie... Ale o tym za chwilę.

Kogut był pieśniarzem nie lada, toteż bez najmniejszej trudności podprowadziłem prezesa do grającego zapamiętale ptaka. Piaszczysta górka i rzadki, wysoki starodrzew, ułatwiały podchód. O kompletnym jeszcze zmroku byliśmy pod głuszcem.

Dzień zasnuty mgłami, spłakany strugami deszczu, mroczny przychodził na świat ospale. Wypatrzyć zatem koguta w koroniastych, gonnych sosnach, było nam dosyć trudno.

Wreszcie na popielatym tle jaśniejącego wyraźnie nieba, dostrzegłem drżącą w szlifowaniu sylwetkę śpiewaka. Odwrócony był głową jak zawsze prawie w stronę, gdzie wzejść miało słońce i grał zapamiętale. Prezes jednak w dalszym ciągu nie mógł go wypatrzeć. Czekaliśmy spokojnie na brzask. Wszystko zapowiadało się jak najlepiej.

Nagle tuż niedaleko trzasnęła gałązka, zaszeleściły kroki. A potem o kilkanaście kroków chrapnęła stara łania, dostawszy od nas wiatru. Zatrzeszczał posusz, stado ruszyło galopem. Jednocześnie głuszec bijąc skrzydłami na gałęzi podskoczył, odwrócił się w kierunku hałasu i zjeżony wypatrywał ku ziemi.

Wystarczyło to Lestrzyckiemu do zobaczenia koguta. A strzelać należało szybko, przestraszony ptak mógł bowiem, nie czekając, odlecieć.

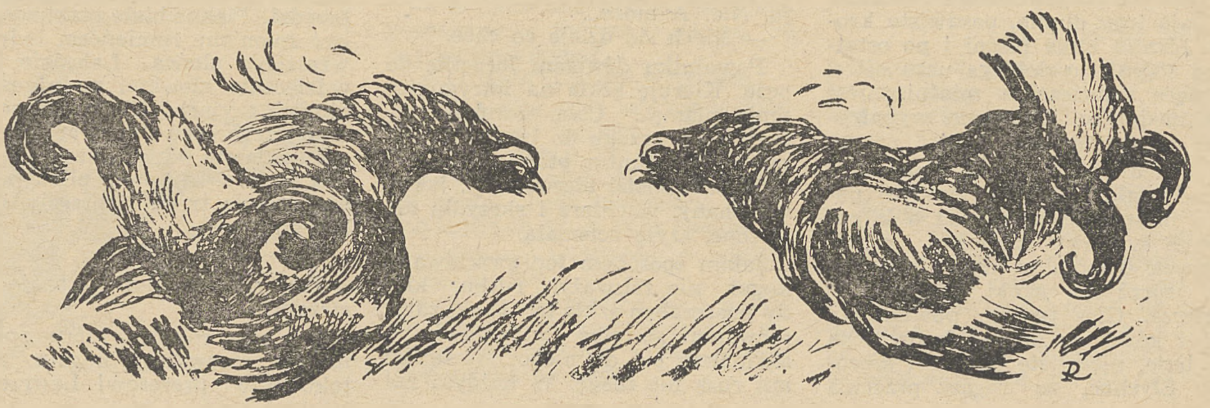
Huk wsiąkł miękko w wilgotne powietrze poranku bez echa.

Długa sosnowa gałąź przegięła się, schyliła ku ziemi, na sekundę zawisła wzdłuż strzały drzewa, aż spadła z łomotem na mchy.

*

Składałem prezesowi Lestrzeckiemu na warszawskim ratuszu przed paru dniami życzenia noworoczne. Rozmowa w nieoficjalnej części wizyty zeszła łatwo i potoczyście na wspomnienia z wiosennych toków i ciągnęła się długo.

A kiedy prezes ściskał moją dłoń na pożegnanie, umówiony był już nie tylko teren wspólnego za 100 dni wyjazdu na głuszce, ale nawet ustaliliśmy, co kto ma ze sobą zabrać do plecaka. Niespożyta jest bowiem prawdziwa pasja myśliwska i żadne niepowodzenie ani przeciwne wiatry nie mogą jej odmienić.



Inż. LADISLAV DRIMAL
referent strzelecki
Ceskoslovenskiej Mysliveckiej Jednoty

O lunecie myśliwskiej

Zastosowanie lunety do myśliwskiej broni kulowej daje możność dokładnego celowania, a przy zachowaniu dalszych jeszcze warunków, również możliwość dokładnego trafienia.

Dogodność i zalety celowania przez lunetę są znane stosunkowo szerokiemu kręgowi myśliwych, pomimo to spotykamy się często z brakiem zaufania do tej bardzo dobrej pomocy w celowaniu Stwierdzić przy tym należy, że dla starszych myśliwych, o osłabionym już wzroku, luneta jest po prostu niezbędna. Jasne jest, że nie można polecać lunety dla każdego rodzaju polowania ze sztucerem. Przy polowaniu z naganką, kiedy strzelamy do zwierzyny szybko się poruszającej i na małe odległości, normalna luneta nie tylko nie jest pomocą, lecz zawadą. Użycie w tym wypadku normalnych celowników otwartych daje możność bardzo szybkiego i na tę odległość dostatecznie dokładnego wycelowania, w wyniku czego myśliwy ma znacznie większą łatwość strzału, aniżeli przy użyciu celownika optycznego.

Istnieją co prawda dla tego rodzaju strzelania lunety o specjalnej konstrukcji, małym powiększeniu i dużym polu widzenia, jest ich jednak mało i czechosłowackie fabryki optyczne dotychczas ich nie wyrabiają. Montowano więc, jak u nas tak i zagranicą, lunety na stosunkowo wysokich nóżkach, co umożliwiało celowanie przez wizjery celownikiem otwartym. Jednakże sposób ten w wyniku właściwie nic nie daje. Szybkie wzięcie na cel i prowadzenie blizko biegnącej zwierzyny nie jest przy tym sposobie dogodne. Użycie celowników otwartych daje znacznie większą pewność trafienia, ponieważ bardzo duże pole widzenia daje nam natychmiast całkowity obraz sytuacji i tym samym możliwość decyzji najdogodniejszego momentu do strzału.

Przy strzałach natomiast na większą odległość i do ruchomego celu, luneta jest znakomitą pomocą, a jednak często słyszymy zdania przeciwne. Co jest powodem tego? Luneta jest przyrządem absolutnie doskonałym i precyzyjnym, wymaga jednak starannej pielęgnacji, a przede wszystkim odpowiedniego posługiwania się nią.

Wmontowanie lunety na broń zależy od fachowości i solidności rusznikarza. Konserwacja jednak i posługiwanie się jest sprawą myśliwego.

Umiejętność posługiwania się lunetą nie jest dziś żadną tajemnicą.

Umiejętność używania lunety

Można by wiele pisać na powyższy temat, nierównie jednak więcej powiedzieć można o faktach niewłaściwego posługiwania się lunetą, jak również o bezsensownych wymaganiach, stawianych temu przyrządowi, a w wypadku niepowodzenia — obwiniania lunety, broni i naboi, nie wspominając naturalnie o strzelcu.

Chciałbym więc wyjaśnić szereg okoliczności, od których powodzenie strzeleckie zależy. Podaję w tym celu dokładny rysunek toru pocisku oraz jego odchylenia wzwyż lub w dół w stosunku do osi przyrządu celowniczego, tj. lunety.

Oczywiście, dane poniższe zachowują swą wartość przy zachowaniu pewnych stałych warunków, a więc zakładając użycie właściwie przystrzelonego sztucera, odpowiednich naboi, tj. takich, jakimi broń była przystrzelona oraz dobre wycelowanie i właściwe oddanie strzału.

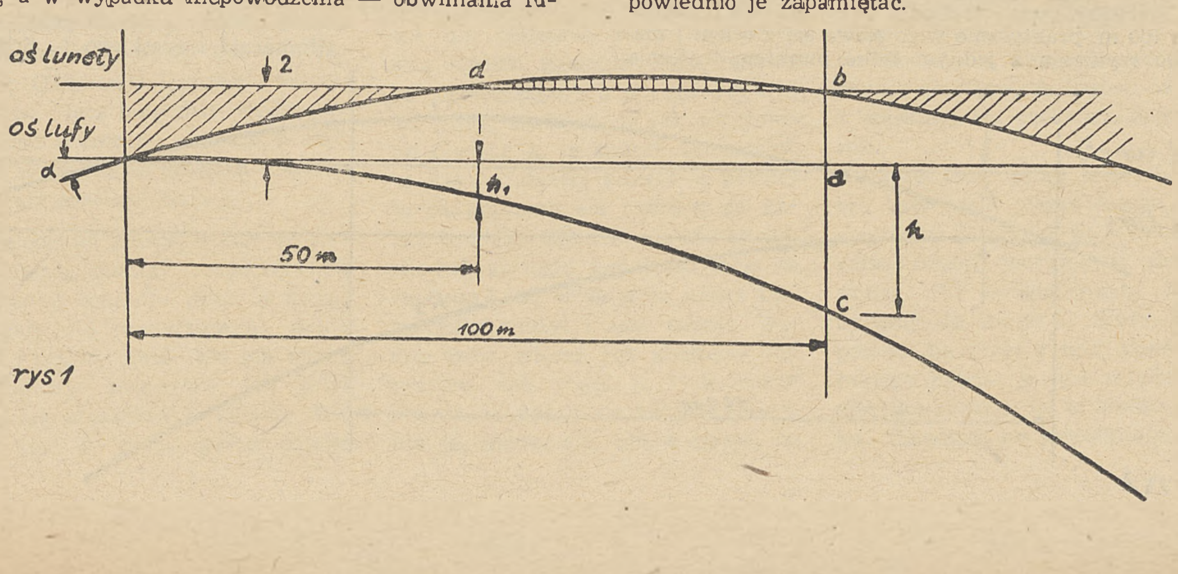
O dokładności trafienia, tj. punkcie umieszczenia pocisku w celu, jako wartości bezwzględnej, mówić nie możemy.

Tor pocisków poszczególnych strzałów podlega tylu wpływom pobocznym, że nie możemy oczekiwać, aby kula znalazła się dokładnie w tym miejscu, w którym sądzimy, że uderzy i musimy się zgodzić z góry z pewnym zmiennym odchyleniem (rozrzutem). Czym mniejszy ten rozrzut będzie, tym broń i naboje są lepsze. Z tego punktu widzenia jest właśnie broń myśliwska oceniana. Mówimy, że sztucer ma mały lub duży rozrzut. Jeżeli osiągniemy na odległość 100 metrów 5 trafień w kole o średnicy 5 cm, broń jest znakomita. Nawet przy znakomitej jednak broni, warunku tego nie uda się spełnić przy większej ilości oddanych strzałów, rozrzut będzie w końcu nieco większy. W każdym razie około 5 cm średnicy jest granicą najniższą.

Stwierdzamy więc, że już sam rozrzut powoduje, że miejsce trafienia znajdzie się, zamiast w punkcie celu, gdzieś w jego pobliżu.

Dalszym czynnikiem będzie przystrzelenie sztucera. Nawet w wypadku najstaranniejszego przystrzelenia broni, nie mamy jeszcze gwarancji trafienia, jeśli dopuścimy przez niewłaściwe obchodzenie się z bronią do jego zmiany, na przykład skrzywienie lufy przez uderzenie, uszkodzenie lunety lub jej uchwytów. Dopóki istnieje jednak pewność, że przystrzelanie, przeprowadzone przez lunetę, pozostaje bez zmiany, możemy nie obawiać się chybionego strzału, oczywiście, przy właściwie oddanym strzale.

Dla tego samego sztucera wyrabiane są różne naboje, zależnie od ich przeznaczenia. Różnice te, obok wagi i kształtu kuli, polegają przede wszystkim na różnej wadze i jakości prochu. Broń przystrzelana jest zazwyczaj najbardziej używanym rodzajem naboi. Jeżeli więc użyjemy naboju z innym pociskiem i prochem, warunki przystrzelania zmienią się i to w tym kierunku, że im cięższa kula i więcej prochu, punkt trafienia będzie wyżej i na odwrót. Dlatego więc przy zamiarze strzelania innymi nabojami niż broń była przystrzelana, należy wypróbować ją strzałami do tarczy na odpowiednią odległość, stwierdzić zmiany i odpowiednio je zapamiętać.



rys 1

Jeśli mamy np. broń przystrzelaną nabojami o wadze prochu 2,8 g i użyjemy następnie naboju o wadze prochu 3,2 g., miejsce trafienia na odległość 100 m będzie leżało około 10 do 15 cm wyżej. Różnica ta nie jest spowodowana jedynie zwiększoną szybkością pocisku, lecz również większym poderwaniem się lufy podczas wyjścia kuli z wylotu.

Chciałbym dalej wyjaśnić związek pomiędzy torem pocisku i osią celowania, którą tworzy oko i cel przez oś optyczną lunety. Wyjaśnienie tej sprawy uważam za bardzo ważne, gdyż znane nam tablice, wydawane przez niektóre fabryki naboi, nie są dla większości myśliwych dość jasne. W wyniku tego powstają zawsze wątpliwości przy strzelaniu na większą odległość niż sztucer był przystrzelany.

Dla wytworzenia właściwego obrazu podaję schematyczny szkic, uwzględniający wszystkie powyższe czynniki. Wyobraźmy więc sobie, jak na szkicu nr 1. lufę poziomo umocowaną, nad nią na wysokości „Z" umocowaną lunetę, której oś jest równoległa do osi lufy. Lufa celuje do punktu „a" na odległość 100 m. Jeśli spojrzymy przez lunetę, widzimy, że celuje ona na tę samą odległość w punkt „b", który jest wyżej od punktu „a" o „Z". Jeżeli teraz oddamy strzał, pocisk trafi nie w punkt „a", dokąd lufa jest skierowana, lecz niżej, w punkt „c". Odległość obu punktów „a" i „c" nazwiemy „h"; stanowi ona odchylenie pionowe toru pocisku na odległość 100 m to, znaczy, o tyle, na skutek ciążenia, obniżył się lot kuli w ciągu czasu, potrzebnego dla przebycia drogi 100 m w stosunku do poziomu, łączącego oś lufy z punktem „a". Na odległość 50 m odchylenie to wyniesie „h1" i będzie ono przy odległości równej połowie pierwotnej około 1/4 „h". Jeśli zastosujemy wartości rzeczywiste, to dla naboju myśliwskiego kalibru 7 x 57, kula o wadze 11,2 g ma „h", tj. 11/4 = 2,85 cm. W rzeczywistości „h1" jest jeszcze nieco mniejsze.

Widzimy więc ze szkicu, że kula znalazła się w punkcie „c", podczas gdy chcemy, aby trafiła w punkt „b". Co czynić? Luneta, względnie jej oś pozostanie niezmieniona, musimy więc kierunek lufy tak zmienić, aby spowodowana tym zmiana toru pocisku osiągnęła na omawianej odległości pokrycie punktu „c" z „b". Widzimy, że nie wystarczy zmienić kierunek lufy tylko tak, aby punkt trafienia wypadł w „a", gdyż oś lunety normalnie jest o 5 cm wyżej, „Z" zatem jest 5 cm. W wymienionym wypadku musimy umiejscowić pocisk o h1 + 5 cm wyżej ponad punkt „c", aby trafić w „b", dokąd celujemy.

Postępując w ten sposób stwierdzimy, że podnieśliśmy lufę w stosunku do osi lunety o kąt „L" i widzimy, że pocisk przecina oś celu już w punkcie „d", tj. przed celem i poraz drugi w celu, tj. w „b". Mamy w tym wypadku dwa punkty trafeinia, pierwszy w „d", drugi w „b", przy czym ten drugi jest punktem trafienia właściwym. Pierwszy punkt jest w odległości około 45 m, drugi 100 m. Dane t odnoszą się wszystkich normalnych naboi myśliwskich. Dla naboi o mniejszej szybkości początkowej pierwszy punkt wypadnie w odległości około 35 m. Im szybkość pocisku większa, tym odległość ta odsuwa się i przy kalibrze 7 x 64 wynosi około 70 m. Przy kalibrze 6,5 x 57 i pocisku o wadze 6 g, pierwszy punkt trafienia przypada na odległość około 100 m, praktycznie więc zlewa się z celem i mamy do czynienia z jednym tylko punktem trafienia. Dokładnie zaś osiągnięto by jeden punkt trafienia — w wypadku użycia naboju, u którego średnia szybkość kuli na drodze 100 m wyniosłaby 1000 m/sek., więc czas przelotu o 0,1 sekundy. Rozważania te odnoszą się oczywiście tylko do wypadku, gdy luneta zmontowana jest o 5 cm ponad lufą; przy innych konstrukcjach dane te ulegają odpowiednim zmianom.

Jakie dalsze wnioski wysnuwamy z tego zjawiska? Ze szkicu widzimy jasno, jak biegnie tor pocisku względem osi celowania i możemy z dostateczną dokładnością odczytać punkt trafienia w jakimkolwiek miejscu, aż do odległości 120 m. Pionowo zakreskowana przestrzeń oznacza, że punkt trafienia jest powyżej osi celu. Odchylenie to stwierdzamy z łatwością i widzimy, że wynosi ona na odległość 60 m około 1/5 Z, tj. 1 cm, punkt trafienia jest zatem o 1 cm powyżej punktu celu. W odległości 20 m pocisk przechodzi poniżej linii celu i na tę odległość mamy punkt trafienia o około 2 cm poniżej celu.

Dla zupełnego wyświetlenia sprawy dodać należy, że tory pocisków wszystkich kalibrów, przy długości łuski 52 mm, są tak płaskie, że przy przestrzelaniu broni na 100 m do 120 m, wszelkie zmiany celownika są bezprzedmiotowe. To nie odnosi się jednak do naboi starego typu, jak np. 9,3 x 72 R itp. Przy kalibrach zaś o długości łuski powyżej 57 mm, najodpowiedniejsza jest odległość strzału przez lunetę nawet dalej aniżeli 100 m.

U trzylufek, gdy lufa na kulę jest pod spodem i konstrukcja wysoka, zdarza się, że chybiamy, strzelając na odległość 10 — 15 m do małego celu, a to dlatego, że odległość osi lufy i lunety może wynosić do 7 cm, wskutek czego punkt trafienia na tak małej odległości będzie o 5 cm niżej, a więc strzelając w taki cel niewielki, jak na przykład łeb małego drapieżnika, np. kota, na pewno chybimy, jeżeli nie zdamy sobie sprawy z istoty powyższych stwierdzeń.

O prawdziwości powyższych uwag może nas łatwo przekonać praktyka. Warunkiem, naturalnie, będzie, że broń była we właściwy sposób na 100 m przystrzelana, i że punkty trafienia kilku kolejnych strzałów pokrywają się z celem. Jeżeli jednak wypadną wyżej lub niżej, obraz ulega zmianie, zgodnie ze szkicem nr 2.

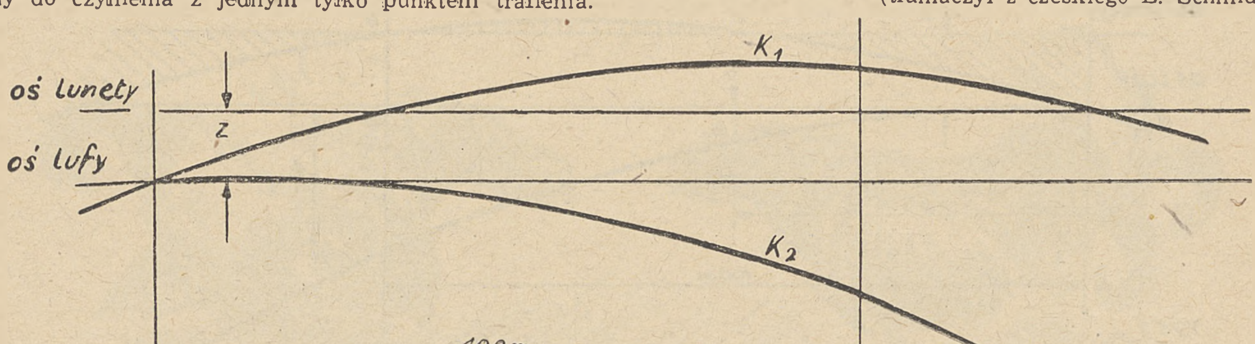
Jeżeli na odległość 100 m punkt trafienia jest około 4 cm ponad celem, znaczy to, oczywiście, przy strzałach silnym nabojem, że tor pocisku do 160 m jest tak płaski, że do tej odległości wszelkie zmiany celownika są zbyteczne.

Jakie z tego wnioski? Jeżeli strzelamy z broni, dokładnie przystrzelanej i odpowiednimi nabojami do 120 m, można nie myśleć o jakichkolwiek zmianach w celowaniu, celujemy więc zawsze w to miejsce, w które chcemy trafić. Na małe odległości, przy strzałach do małego celu, celować należy nieco wyżej. W wypadku, gdy sztucer przystrzelany jest za nizko, tak jak pokazano według krzywej „K2", pole trafienia, w miarę odległości, maleje niekorzystnie.

Kończąc, nadmieniam, że w rozważaniach powyższych uprościłem sobie zadanie, pomijając takie wpływy, jak np. drgnięcia broni. Uwzględnienie tej okoliczności, zmniejszyłoby bowiem jasność obrazu, nie przynosząc specjalnej korzyści.

L. Drimal

(tłumaczył z czeskiego L. Schmidt)



rys 2



IGNACY ŻAGIELL.

Trubadur puszczy

Lesista kraina wielkich jezior gwałtownie zmieniała swoje szaty. Minęły ostre mrozy i śnieżyce, a fala ciepłego powietrza, napływającego z południa, niosła radosny powiew wiosny. Olbrzymie masy śniegu zaczęły gwałtownie topnieć, a wody roztopowe spływały bystrymi strumieniami. Od jeziora poprzez lasy i moczary szedł głuchy łoskot pękających lodów, których spiętrzone masy blokowały ujścia spienionych rzek i strumieni. Pączki na olchach i łozach zaczynały nabrzmiewać, chociaż czasami jeszcze wiatr marcowy przynosił od lodów jeziora mroźne tchnienie zimy. Balsamiczna woń sosen i świerków coraz więcej nasycała powietrze, a po olbrzymiej głuszy, w głębi iglastych borów, słychać było głosy budzącej się do życia natury.

Chłodnymi jeszcze rankami rozlegał się nad puszczą ostry krzyk ciągnących na północ gęsi. Dzikie kaczory rano i wieczorem przelatywały nad wodami, napełniając miłosnym kwakaniem okolice jeziora. Na leśnych moczarach, ledwo świt, trąbiły żurawie, napełniając cały las przeraźliwą wrzawą, jakby głosząc mieszkaócom puszczy poranną pobudkę. Cietrzewie jeszczenie zaczęły tokować, lecz bulgotały, siedząc na wysokich brzozach i osikach, a czerwone brodawki na głowach kogutów nabierały krwistej barwy.

W głębokiej głuszy, w samym sercu iglastej puszczy rozpoczęły się głuszczowe toki. Co dzień o świcie rozlegała się czarodziejska, pełna czaru i uroku, pieśń. Nie ma chyba piękniejszego polowania, jak polowanie na głuszcowych tokach. Kto choć raz w życiu wśród dzikiej przyrody odbywał to wspaniałe misterium, ten już na zawsze, jak człowiek opanowany narkotykiem, będzie pożądał i tęsknił do owej czarownej szczęśliwej chwili, która jest największym szczęściem myśliwskiego życia.

Tej to pamiętnej wiosny mieszkałem w leśnej osadzi nad — dużym jeziorem. Pewnego dnia, gdy cietrzewie namiętnie bulgotały na drzewach przyszedł do mnie strażnik łowieckie, Siergiej Sawicz, stary myśliwy, wabiarz łosi i wilków oraz specjalista od głuszcowych toków. Znał on doskonale życie i zwyczaje głuszców i był odkrywcą niejednego dobrego toku, który zagubiony gdzieś w mokradłach zazdrośnie strzegł swojej tajemnicy przed zachłannością człowieka.

Sawicz przywitał się ze mną. „Głuszcy zaczęli grać" — powiedział na powitanie. — „Na czarcim kurhanie siedem tokowików już tokuje, ale niechaj tylko przyjdzie na ich pora, to wszystkie koguty rozpoczną swoja nuta". — „Kiedy Sawicz był na toku? — zapytałem. —„Byłem ja poszedłszy wczoraj na ichne zapady. Zapadło, żeb ja jutra nie doczekał, równo dwadzieścia siedem głuszców. Byli niektóre zdrowe sztuki, a wielkie jak byki, jeden, siadając, to jak skrzydłami plasnął, to ja znaczy sia myślał. co kto z dubeltki strzelił, a później to on poprawił sia i dawaj po gałęzi chodzić. Chodził, on znaczy sia, chodził, aż musi nadojadło jemu to chodzenie, bo w ta pora głowa pod skrzydły włożył i spać zaczął. Widzę ja,co więcej już głuszców nie przyleci, tak wziął ja i do chaty ida. Rano był ja na tok poszedłszy. Ida ja, znaczy sia, ida, a słyszę, co żurawi krzyczą. Krzyczą, niechaj krzyczą, taka musi u ich moda. Znaczy sia, przyszedł ja blisko toku, stanął pod sosną i stoję. Słyszę ja w ta pora, co jeden klapać zaczął. Klapie on, znaczy sia, klapi, a szlifu ni jak ni daje. Słyszę ja co i drugi też zaczął klapać. Za nim jeszcze trzy albo cztery swoje rozrabiać zaczęli. Stoję ja, znaczy sia, i patrzę, co głuszcy już i grać zaczynają. Trzy to nadtoż akuratnie grali, a cztery to obojętnie, ale i ony poprawią sia, niechaj tylko na ich pora akuratnia przyjdzie" — zakończył swoje opowiadanie Sawicz.

Byłem bardzo zadowolony z dokładnego sprawozdania starego Sawicza. Omówiłem z nim różne szczegóły, tyczące się polowania i postanowiliśmy tegoż dnia wieczorem udać się na zapady, a następnie rano być na toku. Zaraz po południu ruszyliśmy na przełaj przez lasy i bagna na głuszcowe zapady. Wędrowaliśmy przez wspaniałe iglaste bory wśród olbrzymich sosen i świerków, gdzie człowiek wydawał się nędznym robakiem wobec majestatycznych olbrzymów leśnych. Wesoło mi było na duszy, bo oto znowu zbliża się szczęśliwa chwila głuszcowych toków, na które z utęsknieniem czekałem przez cały rok.

Na roztoczy leśnej widoczne jeszcze były białe plamy śniegu, który stopniowo topniał pod działaniem coraz silniej operujących promieni słońca. Po dwugodzinnym marszu byliśmy na miejscu. Stary Sawicz poszedł na przeciwległą stronę szerokiego bagna, ja zaś zająłem stanowisko niemal, że w środku zapadu. Usiadłem na spróchniałym wy-

krocie. Dookoła mnie rozciągało się bagno trawiaste, porośnięte karłowatą sosną z pojedynczymi, większymi sosnami, na które właśnie zapadały głuszce. Siedzę i pełną piersią wchłaniam balsamiczne powietrze iglastych borów, dookoła panuje, niczym nie zmącona cisza, przerywana tylko furkotem skrzydeł przelatującego jarząbka. Gdzieś daleko na moczarach parsknął łoś, a w pobliskich gąszczach świerczyny zaszczekał kozioł. Siedzę i marzę i oto snują mi się wspomnienia z minionych głuszcowych toków, które na zawsze pozostały w mej pamięci

Chrapanie ciągnącej słonki przerwało moje myśli. Słońce chyliło się ku zachodowi. Powinny zacząć zapadać — pomyślałem — i w tym prawie momencie usłyszałem szum skrzydeł i pierwszy głuszec zapadł na pobliskiej sośnie. Łomotnął głośno skrzydłami i zamilkł. Po małej chwili cicho spłynął na sąsiednią sosnę i zaczął niespokojnie chodzić po gałęzi, wydając gardłowe dźwięki, aż w końcu widocznie usadowił się wygodnie, bo zamilkł zupełnie. W chwilę później przyleciał następny, za nim trzeci, czwarty i dalej już ze wszystkich stron słychać było szum skrzydeł i łoskot zapadających głuszców. Niektóre z nich zaczęły klapać, lecz w miarę zapadania zmroku ucinały jeden po drugim. Ciemno już było, a jeszcze gdzieś z daleka słychać było łoskot skrzydeł tych królewskich ptaków. Razem zapadło siedemnaście głuszców dookoła mego stanowiska. Wstałem z wykrotu i cicho jak duch zacząłem wycofywać się z głuszcowego bagna. Udało mi się szczęśliwie, gdyż ani jednego głuszca nie spłoszyłem.

Przeszedłem około kilometra na duży świerkowy las, aż tu patrzę ogień się pali, a przy ogniu stary Sawicz siedzi i pali fajkę. Wesoło buchał płomień z dwóch palących się nodji. Wielkie kłody świerkowego drzewa paliły się z trzaskiem, a wiatr rozpraszał złociste iskry, które lecąc do góry znikały w koronach olbrzymich świerków. Usiadłem na przygotowanym posłaniu z świerkowych łapek. — „No, jak tam stary?" — zapytałem gajowego. Sawicz zaciągnął się fajkowym dymem, splunął przez zęby i powiedział: „W nadtoż obojętnym ja dziś miejscu bywszy, wszystkie głuszcy pozapadali w pańskiej stronie. Na moim ostrówku tylko sześć kogutów było zapadłszy. Niemiał ja gdzie usiąść, leżał prosto na gołej ziemi i zdaje sia, co ja spina przestudził, albo wilka w pewna miejsca złapał". „Wygrzeje się Sawicz przy ogniu, to przeziębienie przejdzie" — powiedziałem, wyciągając z torby myśliwskiej butelkę wódki i zakąskę.

Gajowy wyciął nożem dwa długie patyki, ostro zakończone. Na patyki te nasadziliśmy kawałki boczku, które zaczęliśmy przypiekać na ogniu. „Odpowiedzialna zakąska będzie" — powiedział Sawicz, patrząc chciwie na butelkę z wódką. Nalałem dwie pełne szklanki. „No, stary — pod głuszce" — powiedziałem. Sawicz podniósł szklankę do góry. „Perswaduję w pańskie ręce" — powiedział uroczystym głosem. „Ależ bynajmniej" — powiedziałem zgodnie z zasadami dobrego tonu. Sawicz pił powoli, jakby delektując się ognistym płynem. „Jak pomału pijesz to prędzej do głowy idzie" — powiedział.

Po skończonej kolacji siedzieliśmy długo przy ogniu, paląc fajki. W lesie było zupełnie ciemno i cicho, tylko wiatr żałośnie jęczał w koronach olbrzymich świerków i sosen. Wielka sowa leśna przeleciała niedaleko naszego obozu, usiadła gdzieś na drzewie i huknęła kilka razy złowieszczą i ponurą nutą. „No, stary, spać będziemy" — powiedziałem do Sawicza. Okręciliśmy się w koce i zwróceni plecami do ognia zapadliśmy w głęboki sen. Kilka razy w nocy budziłem się, gdyż pomimo ognia dokuczało mi dotkliwe zimno. Poprawiłem się w moim legowisku i zasnąłem na dobre.

Raptem głos Sawicza zbudził mnie ze snu. „Panoczku, stawaj, już pora, żurawi krzyczą". Zerwałem się z posłania. Z pobliskich moczarów płynęła przez głuszę, niczym bojowa pobudka, pieśń żurawi, napełniając knieję przeraźliwą wrzawą. Spojrzałem na zegarek, było piętnaście minut po godzinie drugiej. Chwyciłem strzelbę i poszedłem w kierunku wieczornego zapadu. Sawicz został przy ogniu i krzyknął mi na odchodnym: — „Ni puchu, ni szerści"!...

Po kilkunastu minutach byłem na miejscu, stanąłem na skraju bagna i słucham. Ciemno było zupełnie, lecz wschodnia strona lekko już



Kładkami przez mszary rys. Z. Bułka

przeświecać zaczęła. Nadsłuchiwałem dobrą chwilę, gdy raptem usłyszałem w nocnej ciszy dalekie klapanie głuszca. Klapie jeden, zaczyna drugi, trzeci, aż w końcu już kilka sztuk w różnych kierunkach rozpoczęło grać swoją wiosenną pieśń miłości. Najbliższy głuszec klapał, korkował i szlifował w odległości około osiemdziesiąt kroków. Z początku wolno z przerwami, lecz później coraz lepiej, coraz dłużej, aż popłynęła czarowna kaskada dźwięków i pieśń za pieśnią lała się bez przerwy w nocnej ciszy.

Zacząłem podchodzić. Teren był trudny, mokry, dużo wykrotów i złomu. Skaczę pod pieśń, lecz tylko dwoma susami. Korkowanie głuszca było tak wyraźne i mocne, jakby ktoś butelkę szampana otwierał. Jestem już w połowie drogi, szlif słychać coraz wyraźniejszy. „Czy dojdę tylko"? — pomyślałem. Podniecony byłem w najwyższym stopniu. Serce biło mi jak młotem, krew jak oszalała burzyła się i kipiała w moich żyłach, a głuszec gra wspaniale i w szaleństwie wiosny płynie pieśń za pieśnią nie przerywaną falą. Jestem już blisko, zatrzymałem się pod rozłożystą sosną, wytężam wzrok, lustruję sosnę od góry do dołu, niestety, nie widzę go. Znowu skaczę dookoła sosny, szukając jego sylwetki w gałęziach drzewa. O Boże! już go widzę. Wśród igliwia sosny w mrokach budzącego się dnia odbija się wyraźnie jego olbrzymia sylwetka. Siedzi wspaniały z podniesioną głową, szeroko rozstawionym wachlarzem i w ekstazie śpiewa wiosenną pieśń miłości. Krew w żyłach moich pulsuje gorąco. Oto największe szczęście łowieckie stało się znowu moim udziałem. Podniosłem broń do oka: witaj, a jednocześnie żegnaj, piewco leśnej głuszy!, żegnaj wspaniały trubadurze puszczy! Wśród ciszy ginącej nocy rozległ się huk wystrzału i olbrzymi ptak runął ciężko na ziemię. Z sąsiednich sosen zerwały się spłoszone strzałem głuszce.

Nadchodził świt. Od jeziora słychać było kwakanie kaczek, a na pobliskich łąkach bekasy beczały głośnym, drżącym głosem. Usiadłem na spróchniałym wykrocie opodal ubitego głuszca i zasłuchany w poranne odgłosy budzącej się puszczy, zapaliłem fajkę. A hen, daleko za ścianą iglastych borów pojawiła się na niebie ognista kula wschodzącego słońca

LUDWIK HUCZEK

Choroba u lisów

W ubiegłym sezonie, tj. z 1948 na 49 rok, na obszarze czterech do siebie przylegających łowisk północnej części powiatu żywieckiego, stwierdzono „parszywe" lisy. Choroba na tych obszarach przybrała dosyć duże rozmiary, a liczyć się trzeba, że obejmie ona szerszy zasięg, przynajmniej całą część Magórki, należącej w części też do powiatu bialskiego. Rozszerzaniu się tej choroby zapobiega na razie niezamarzająca Soła, a z przeciwnej strony linia kolejowa Żywiec — Bielsko, biegnąca zabudowaną doliną.

Odstrzał lisów, których jest stosunkowo dużo, a które należą tu do stałej zwierzyny łownej i stanowią okrasę tutejszych skromnych polowań (a zdarzają się naprawdę śliczne okazy lisie), jest bardzo trudny. Teren bowiem jest do opolowania bardzo ciężki i wymaga wielkiej liczby myśliwych. O wabikach zaś wielu tutejszych myśliwych tylko marzy; polowania z zasiadki przy nęcisku w śnieżne noce księżycowe nie przypadają do gustu znacznej części myśliwych; o padlinę względnie konie kwalifikujące się dla lisów, jest obecnie trudno, ponieważ konkurencję robi, i to skuteczną, świeżo otwarta w mieście powiatowym rzeźnia końska.

Jednak myśliwi terenów zagrożonych wymienioną chorobą czynią co mogą. Przede wszystkim urządzają wspólne polowania. Kilka parszywych lisów ubito. Ubicie takiego chorego lisa nie daje myśliwemu absolutnie żadnej emocji, mimo najefektowniejszego strzału. Czy już obecnie lisy same padają, od tej choroby — nie stwierdzono, być może, że zbyt krótki jest jeszcze okres owej choroby.

Okres lisich godów, to jest cieczki, sprzyja bardzo rozszerzaniu się tej zaraźliwej choroby, bo jak wiemy, w tym czasie psy, dobijające się o względy suki, po kilka naraz wchodzą do nory, gdzie suka się znajduje.

A wielka szkoda byłaby, gdyby ten miły filut - przechera miał tutaj wyginąć, względnie stać się rzadkością. A filutem i to bezczelnym to on jest. Często bowiem leśniczym czy też myśliwym, mieszkającym na wsi, zostawia swą „wizytówkę" i tropy na podwórzu, które raczył odwiedzić w nocy.

Uważam, że obawa wyginięcia lisa w naszych łowiskach nie jest płonna. O ile mi wiadomo, w okolicach Złotego Stoku, na Dolnym Śląsku, wyginęły prawie całkowicie lisy na skutek jakiejś zarazy. Ale jakiej, nie wiem. Może tamtejsi koledzy zechcą coś o tym napisać? Też czytaliśmy w prasie o wściekliźnie lisów, która miała grasować na pograniczu polsko-czechosłowackim, ale mimo obserwacji — dotąd niczego nie stwierdziliśmy.

Charakterystyczne jest, że po pierwszej wojnie światowej lwowski „Łowiec" donosił swego czasu o „parszywych" lisach we wschodniej Galicji. Również o tym wspomina Fedorowicz w „Krajowych zwierzętach ssących". Lisy miały rzekomo zarazić się tą chorobą od padliny końskiej.

Na czym owa lisia choroba, jak mówią niektórzy „parchy", polega?

Jestem rad, że wyjaśnienia nie musimy szukać w niemieckich wydawnictwach, np. Olt u. Ströse, „Wildkrankheiten", bo mamy wyjaśnienie Polaka, lekarza weterynarii i do tego myśliwego, B. Strzeleckiego, w „Łowcu" z roku 1939, nr 1 — 2.

Tutaj ograniczę się do krótkiego streszczenia tego artykułu.

Jest to choroba skórna, zwana świerzbem. Wywołują ją mikroskopijne zwierzątka, które szybko się rozmnażają w skórze lisa i wywołują ogromne swędzenie u chorego zwierzęcia, na którego skórze występują małe strupki, włos zlepia się, a następnie wypada, na skutek czego powstają wyłysienia skóry. Przeważnie najpierw atakowana jest głowa, okolice nasady uszu, potem grzbiet, kita, a na końcu stawki. Choroba trwa miesiącami i zawsze kończy się śmiercią lisa, a to na skutek zatrucia organizmu przez pasożyty świerzbu, a także wskutek utraty futra, co pociąga za sobą przeziębienie lisa, a następnie śmierć. Normalnie zarażanie się lisów następuje w czasie cieczki, tak że jeden zarażony lis może chorobę roznieść na całą okolicę Przypuszczenie myśliwych, że konie dotknięte świerzbem, a jako padlina dostępne dla lisów, są przyczyną szerzenia się świerzbu u lisów, są zupełnie fałszywe, ponieważ świerzb u koni został przed wojną całkowicie wytępiony, a mimo to świerzb u lisów od czasu do czasu nawiedza pewne okolice, a po pewnym czasie sam ginie.

Jedyny sposób zwalczania świerzbu u lisów to intensywny odstrzał chorych sztuk, zakopywanie ich i dezynfekcja nor, z których korzystały. Dezynfekować zaleca się lyzolem, kreoliną, a w ostateczności świeżo gaszonym wapnem.

Ponieważ taka dezynfekcja jest niekiedy niewykonalna, uważam, że wystarczy do nor wsypywać takie środki chemiczne, które posiadają silną woń, np. naftalinę, a która odstraszyłaby odeń lisa zdrowego.

Ubitych zaś, chorych lisów nie należy pozostawiać na powierzchni ziemi, bo i te w dalszym ciągu będą zarażały, lisy bowiem są kanibalami, czyli chętnie pożerają padlinę własnego gatunku.

Inż. EDWARD FRANKIEWICZ

K A C

WŚRÓD naszych myśliwych panuje pogląd, że do zmniejszenia się stanu ilościowego dzikich kaczek, zjawiska stwierdzonego w wielu okolicach naszego kraju, przyczynia się w dużej mierze nadmiar kaczorów. Wprowadzenie ostatnim rozporządzeniem Ministra Leśnictwa wiosennej ochrony kaczorów w roku bieżącym na obszarze siedmiu województw, wywołało żywe niezadowolenie większości kolegów z części kraju, objętej tą ochroną, szkodliwą rzekomo dla rozmnoży kaczek.

W jednym z województw, gdzie zakaz polowania wiosennego na kaczory został wprowadzony w kwietniu roku zeszłego uchwałą walnego zgromadzenia wojewódzkiego PZŁ, już spostrzeżono ujemne skutki tej uchwały, i niektórzy myśliwi zwrócili się do władz centralnych PZŁ o przywrócenie polowania na kaczory w okresie wiosennym. Jednakże nie wszyscy oni słusznie uzasadniają ten wniosek, gdyż kierują się osobistymi pobudkami, a czasem opierają się nawet na myśliwskich bajkach. Jeden z kolegów dał wyraz na piśmie swojemu oburzeniu na rzekomych sprawców powzięcia wymienionej uchwały, świadczącej, jego zdaniem, o braku wykształcenia i doświadczenia przyrodniczo - łowieckiego niektórych działaczy PZŁ. Twierdzi on, że znaczne zmniejszenie się w roku ubiegłym ilości kaczek na terenie gospodarstwa rybnego, dzierżawionego od PGR przez kołko myśliwskie, którego jest członkiem, zostało spowodowane nadmiarem kaczorów, których na skutek nieszczęsnej uchwały wojewódzkich władz PZŁ nie wolno było odstrzelić.

Jako referent łowiecki Komitetu Wykonawczego i kierownik powierzonego mi działu hodowli i ochrony zwierzyny w Komitecie Redakcyjnym Łowca Polskiego uważa za swój obowiązek zabrać głos w omawianej sprawie, tym bardziej, że ja również spostrzegłem zgubne skutki zakazu polowania na „wiosenne kaczory“ i przy ustalaniu terminów ochronnych na rok przyszły postawiłem wniosek otworzenia w całym kraju polowania wiosennego na tę zwierzynę; wniosek ten po uchwaleniu go przez Naczelną Radę Łowiecką został złożony w Ministerstwie Leśnictwa.

UWAŻAM za konieczne wyjaśnić szerokiemu ogółowi kolegów myśliwych powody, dla których Komitet Wykonawczy PZŁ wprowadził w niektórych województwach, tytułem próby, ochronę kaczorów, jak również chcę podać przesłanki, którymi się kierowano obecnie, przywracając te tak bardzo miłe polowania.

Nie można się zgodzić z twierdzeniem, że winę za widoczne dla nas wszystkich zmniejszanie się z roku na rok zwierzostanu kaczego ponoszą pięknie ubarwione, lubieżne kaczory. Wprawdzie myśliwy i literat rosyjski z pierwszej połowy ubiegłego stulecia, S. Aksakow, bardzo obrazowo podaje sceny z życia kaczego, opisując szczegółowo, jak to biedna kaczka pieszczotą usypia namiętnego kochanka, aby w czasie jego snu oddalić się do ukrytego przed okiem kaczora gniazda w celu zniesienia jajka; z dalszych opisów dowiadujemy się, jak oszukany „lubieżnik“ po znalezieniu gniazda niszczy w szale zazdrości jaja, chcąc tym zmusić kaczkę do przedłużenia okresu godowego. Wątpię bardzo, czy Aksakow widział sam takie sceny i wątpię, czy ktokolwiek z myśliwych lub przyrodników mógł je podpatrzeć. Zbyt pochopni jesteśmy, moim zdaniem, do przypisywania światu zwierzęcemu ujemnych właściwości rodu ludzkiego. Również nie znajdujemy potwierdzenia opisanych przez Aksakowa scen niszczenia gniazd przez kaczory w filmach przyrodniczo-łowieckich, a przecież operatorzy filmowi przez wiele dni, a nawet tygodni, są świadkami tajemnic przyrody. Mógłby coś o tym powiedzieć nam kolega W. Puchalski, który ma tak bogate doświadczenie w podpatrywaniu i utrwalaniu na taśmie filmowej największych tajników z życia zwierząt.

Twierdzę więc stanowczo, że przypisywanie kaczorom czynów sprzecznych z instynktem zachowania gatunku, sprzecznych ze stwierdzoną przez nowoczesną naukę celowości w przyrodzie, należy włożyć między tak liczne i przysłowiowe bajki myśliwskie.

JEST jeszcze drugi zarzut stawiany kaczorom. Oskarża się je o to, że przeszkadzają kaczkom w lęgach przez zamęczanie ich swoją namiętną miłością. Świadczyć o tym mają sceny uganiania się za kaczką kilku zalotników. Namiętność w okresie godowym nie jest właściwością wyłącznie kaczorów, gdyż ulegają jej wszystkie zwierzęta, czworonogi i ptaki, a nawet człowiek. Bezsprzecznie, niewłaściwy stosunek ilościowy płci ujemnie wpływa na rozmnożę; zarówno nadmiar samców jak i nadmiar samic jest szkodliwy. W wolnej przyrodzie nie zachodzi zjawisko nadmiaru ani jakiegoś gatunku, ani też osobników poszczególnych płci. Równowagę tę naruszył człowiek przez swą krótkowzroczną i opaczną gospodarkę.

Opierając się na tym, że kaczki, po połączeniu się na wiosnę w pojedyncze czułe pary, pozostają z sobą przez cały okres godowy, do czasu aż samica rozpocznie wysiadywanie jaj, przy czym kaczor jest nie tylko namiętnym, ale również bardzo przywiązanym kochankiem, uważam, że ilość kaczorów i kaczek winna być mniej więcej równa. Ten stosunek ilościowy może być utrzymany bez trudności, gdyż lęgnie się jednakowa ilość obu płci, zaś w czasie letnich i jesiennych polowań strzela się w równej mierze kaczki samice jak i kaczory

Od połowy kwietnia, gdy kaczki rozpoczynają wysiadywanie jaj, kaczory krzyżówki pozostają osamotnieni; u cyranek następuje to o parę tygodni później. Zrozumiałe jest, że w tym okresie kaczory idą na wab najchętniej. Kaczki, które widzimy w owym czasie w towarzystwie kaczora lub goniących je kaczorów, są tymi nieszczęśliwymi matkami, którym zniszczono gniazda. Uganianie się więc kaczorów za kaczką jest nie przeszkodą w dopełnieniu nakazanego jej odwiecznym prawem przyrody obowiązku, lecz skutkiem zniszczenia pierwszego zniesienia, czego sprawcą jest przeważnie człowiek. Tu właśnie dochodzimy do sedna sprawy.

O R Y

NAJWAŻNIEJSZYM i podstawowym warunkiem w hodowli zwierzyny jest spokój w łowisku, szczególnie w okresie rozmnoży. Spokój ten jest zakłócony zarówno przez samych myśliwych, polujących w niewłaściwy sposób, jak i przez stosowanie różnych zabiegów, wynikających z potrzeb gospodarki leśnej, rolnej lub rybnej, oraz przez szkodniki ludzkie, których celem jest wybieranie jaj i wyłapywanie młodzieży lub po prostu bezmyślne niszczenie gniazd.

Komitet Wykonawczy PZŁ, wprowadzając na rok 1949/50 wiosenną ochronę w województwach, gdzie nie ma większych otwartych wód i gdzie kaczki lęgną się i bytują na sztucznych stawach rybnych, pragnął położyć kres polowaniom uprawianym przez szereg kółek w sposób sprzeczny z zasadami etyki i hodowli. Zaczęto bowiem urządzać w okresie wiosennym polowania zbiorowe w kilkanaście strzelb na „brodzonego", a nawet z naganką.

Okazało się jednakże, że zakaz polowania wiosennego nie rozwiązuje zagadnienia, gdyż zabiegi gospodarcze na stawach rybnych w postaci koszenia szuwarów w okresie lęgów ptactwa wodnego, wycinanie i wypalanie wszelkich krzewów i zarośli na groblach i brzegach nie tylko wprowadzają niepokój w łowisku, lecz przyczyniają się bezpośrednio do niszczenia gniazd kaczych i innych ptaków. Szkody wyrządzone łowiectwu przez opisane czynności gospodarcze są znacznie większe niż przez wymienione polowania zbiorowe. Poza tym, w razie zakazu polowania wiosennego, myśliwi nie interesują się łowiskiem w miesiącach tak ważnych dla hodowli, z czego korzystają szkodnicy, niszcząc doszczętnie ocalałe jeszcze gniazda.

Z tych też powodów Komitet Wykonawczy PZŁ postanowił po rozważeniu przywrócić w roku przyszłym polowanie na kaczory w miesiącach wiosennych, zalecając myśliwym polowanie na wabia, z żywą krykuchą lub ze sztucznym „bałwankiem" i wabikiem. W sprawie „bałwanków" i wabików zwrócono się do Spółdzielni „Jedność Łowiecka", która obiecuje zaopatrzyć nas w ten sprzęt. Należy pomyśleć również o hodowli krykuch.

Polowanie na kaczory z krykuchą lub z wabikiem ma te zalety, że, dając dużo wrażeń myśliwskich, nie wprowadza do łowiska niepokoju, oraz, że przy tego rodzaju polowaniu dokonuje się odstrzału kaczorów samotnych, nie wyrządzając tym krzywdy hodowli.

Osobiście uważam, że nawet odstrzelenie z podrywu kilku kaczorów, spacerujących po groblach, oczywiście bez brodzenia myśliwego i bez bobrowania psa, jest dozwolone. Polowanie takie można stosować przy sposobności kontroli łowiska.

NA zakończenie pragnę jeszcze raz podkreślić, że do tak znacznego zmniejszania się zwierzostanów kaczych, jakie zauważono u nas w ostatnich latach, poza przyczynami wynikającymi z gospodarki człowieka, jak melioracje, gospodarka rybna itp., na które my, myśliwi, wpływu mieć nie możemy, w głównej mierze przyczynia się rozwielmożnione szkodnictwo, polegające na wybieraniu jaj przez dzieci wiejskie, co się odbywa przeważnie w dni wolne od nauki, tj. niedzielę i święta. Dlatego też wycieczki do łowiska w te dni ograniczą w dużym stopniu niszczenie gniazd.

Nie rzucajmy więc potwarzy na kaczory, lecz zacznijmy krzewić i szerzyć oświatę na wsi, a wówczas zniknie między innymi i to zło — tępienie zwierzyny.



Straszna przygoda... *rys. K. Orłowski*

MARIAN BIELEWICZ

Przystrzelanie broni śrutowej

Zagadnienie znajomości własnej broni myśliwskiej jest jednym z zasadniczych warunków uzyskiwania dobrych rezultatów w czasie polowań, a tym samym pełnego zadowolenia myśliwego.

W artykule niniejszym pragnę poruszyć kilka problemów strzału śrutowego, których rozpatrzenie będzie dla kolegów myśliwych dużym ułatwieniem w kwestii poznania szeregu wad i zalet posiadanej przez każdego z nas broni śrutowej.

Korzystam przy układzie tych wskazówek zarówno z własnych obserwacji, jak też z literatury fachowej, zwłaszcza z pracy H. Zapolskiego Downara „Dubeltówka śrutowa, nabój, strzelanie".

Z dużym prawdopodobieństwem twierdzić można, że znajomość własnej dubeltówki śrutowej ogranicza się u większości myśliwych do cech powierzchownych: jedni chwalą doskonałą markę fabryczną, inni szczycą się pierwszorzędnymi wynikami na polowaniach lub możliwością przesadnie dalekich strzałów. Nie brak zaś i takich, którzy wiecznie narzekają na jakość posiadanej broni, twierdząc, że strzelba strzela źle, że „żywi", posiada duży rozrzut, nie jest składna, góruje lub dołuje itp.

Jeśli jednak zapytamy się takiego entuzjasty, ewentualnie malkontenta, czy przystrzelał już swoją strzelbę do tarczy, jakie jest pokrycie, równomierność i ostrość strzału, to okaże się, że nigdy tego nie robił, albo, co gorsza, nie bardzo orientuje się, co należy przez to rozumieć. Narzekanie wielu z nas na posiadaną broń i przypisywanie całkowitej winy strzelbie za mierne rozkłady polowań, jest najczęściej niezręcznym usprawiedliwianiem się przed kolegami, gdyż miarodajnym wskaźnikiem jakości będzie, odpowiednio przeprowadzone jej przystrzelanie.

Jest rzeczą zrozumiałą, że pomijając mniejszą lub większą nieskładność broni oraz indywidualne cechy myśliwego ,zasadniczy wpływ na skuteczność strzału mieć będzie jakość użytej broni, a szczególnie odpowiednie dobranie do niej naboju, co właśnie nazywamy przystrzelaniem. Daje ono wielkie korzyści myśliwemu, gdyż na tej podstawie może on wykreślić dość dokładną granicę między praktyczną skutecznością oddanego strzału, a popełnionymi przez siebie błędami przy celowaniu.

Chcąc przystąpić do przystrzelania broni należy wpierw zaopatrzyć sie w odpowiednie tarcze papierowe oraz pieczołowicie dobrane ładunki. Jako tarczy używamy dużych arkuszy papieru, o wymiarach około metra w kwadracie, a praktycznie nadają się tu w zupełności arkusze papieru pakunkowego. Z kolei przygotowujemy potrzebne ładunki. Zdawało by się, że najprostszym sposobem jest użycie gotowych, fabrycznych naboi, jakie obecnie mamy w handlu; z własnego doświadczenia jednakże wiem, że nie są one dostatecznie dokładnie elaborowane, by można je bez zastrzeżeń użyć do precyzyjnego przystrzelania broni*).

Dlatego najlepiej będzie wykonać ładunki samemu, przestrzegając ściśle odpowiedniego dawkowania zasadniczych norm prochu i śrutu według poniższej tabelki, używając możliwie nowej łuski i dobrej przybitki:

Kaliber:	Proch dymny:
12	5,5 g
16	4,5 g
20	3,5 g

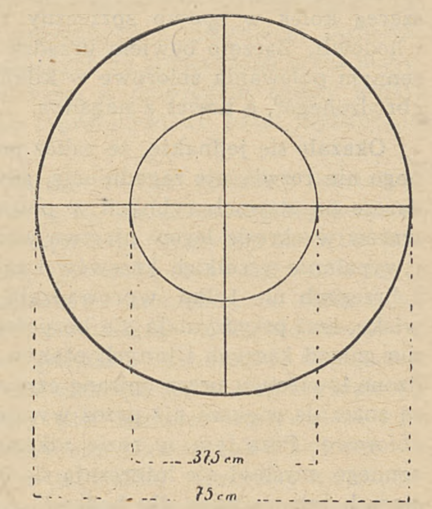
Proch bezdymny:	Śrut:
2,1 g	32 g
1,8 g	28 g
1,6 g	26 g

Ze względu jednak na to, że wymiary poszczególnych śrucin tego samego kalibru nie są identycznie równe, wyłania się problem tego rodzaju, że w jednakowej w a g o w o ilości śrutu danego rozmiaru, znajdziemy różną ilość ziarenek. Dlatego, chcąc zachować jak największą dokładność w przeprowadzeniu doświadczenia, należy p o l i c z y ć ilość śrucin każdego naboju. Ilość tę wraz z kalibrem wypisujemy na górnej zatyczce, po zakręceniu łuski. Na początek przygotowujemy 4 sztuki naboi, z czego 2 ze śrutem 2,5 mm i 2 ze śrutem 3.5 mm. Wspomniane poprzednio tarcze rozwieszamy po kolei przy pomocy szpilek lub pluskiewek na trzech pionowo wbitych w ziemię drążkach, uważając, by wiatr nacisкał papier do drążków, a równocześnie, by poza tarczą znalazła się przestrzeń otwarta, wykluczająca postrzelenie przechodniów.

Strzelamy z odległości 35 metrów, którą radzę wymierzyć dokładnie metrem taśmowym lub innym sposobem, ponieważ odległość mierzona krokami nie jest zawsze miarodajna. Celujemy w środek arkusza papieru z normalnej postawy stojącej, starając się jednak nie zerwać broni przy oddaniu strzału. Przed tym jednak koniecznie trzeba ołówkiem wynotować, najlepiej w lewym, górnym rogu arkusza, następujące dane: ilość wagowa prochu i śrutu w naboju, ilość śrucin w ładunku oraz lufę, z której strzelamy (lewa albo prawa). W opisany sposób wystrzeliwujemy po kolei do poszczególnych tarcz obydwa ładunki ze śrutem 2,5 mm, raz z lufy prawej, następnie z lewej i tak samo postępujemy z nabojami o śrucie 3,5 mm. Po każdym strzale składamy starannie papiery i obliczenia przeprowadzamy w domu.

Rozpoczynamy je od oznaczenia środka trafienia za pośrednictwem dwu prostopadłych do siebie linii, przebiegających przez najsilniejszy obszar skupienia śrucin. Mieści się on w punkcie ich skrzyżowania i tym sposobem wyznaczony zostaje bez względu na możliwość niewielkiego chybienia przez myśliwego.

Przy pomocy dużego cyrkla lub — w razie jego braku — ołówka uwiązanego na cienkim sznureczku, zakreślamy od środka trafień dwa centryczne koła: większe o średnicy 75 i mniejsze o średnicy 37,5 cm. (rysunek 1).



Rys. 1. **Rozmiary tarczy śrutowej**

Następnie zliczamy ilość trafnych śrucin w poszczególnych kołach i odnotowujemy w prowadzonym protokóle. Wielkość kół jest tego rodzaju, że koło wewnętrzne przedstawia prawie powierzchnię dwu, ułożonych w postaci krzyża, zajęcy, zaś koło większe równa się powierzchni 6 zajęcy. Doświadczalnie stwierdzono ,że śruty, które trafiły z odległości 35 metrów w koło mniejsze o średnicy 37,5 cm, znajdą się na odległość 50 m właśnie w powierzchni koła większego, tj. 75 cm.

Z kolei oblicza się stosunek procentowy trafień w całą tarczę (tj. koło 75 cm) do ilości śrucin w naboju. Jeśli np. w naboju było 72 śruciny o średnicy 4 mm (28 g) zaś w tarczę trafiło ich 47, to otrzymamy 65,3% pokrycia (47 × 100 : 72 = 65,3), co jest wynikiem bardzo dobrym. Po wykonaniu podobnych obliczeń na pozostałych tarczach, przekonujemy się, że zazwyczaj lewa lufa wykazuje wyższe pokrycie w porównaniu do lufy prawej, a to na skutek silniejszego „czoka", czyli zwężenia wylotu lufy lewej, co powoduje większe skupienie śrucin.

Procent pokrycia broni określa się następująco:

od 75% w górę dają pokrycie bro nie produkowane dla specjalnych celów, na ogół nie przydatne w łowiectwie,

pokrycie od 65 — 75% jest wspaniałe,

pokrycie od 55 — 65% jest bardzo dobre,

pokrycie od 45 — 55% jest dobre,

pokrycie od 35 — 45% jest dostateczne,

pokrycie poniżej 35% jest słabe.

Strzelba o pokryciu niższym niż 45% nadaje się tylko do polowań leśnych.

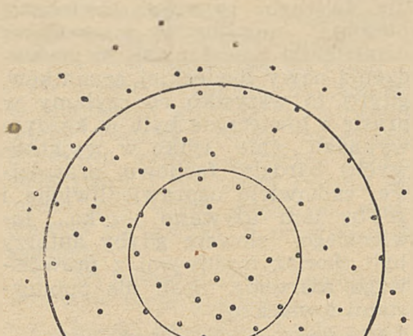
Niemniej ważną cechą broni śrutowej, jak procent pokrycia, jest równomierność pokrycia. Nazwą tą określamy równe rozłożenie śrucin na powierzchni całej tarczy, tak, by możliwie każdy taki sam wycinek tarczy trafiony był jednakową ilością śrucin. Układanie się śrucin w grupach w jednym miejscu, przy pozostawieniu obok miejsc nie trafionych, jest wadą broni, powodującą omijanie przez śruty zwierzyny drobnej.

Jak zaznaczyliśmy na wstępie, celem naszych prób jest stwierdzenie pokrycia broni i ewentualnie jego podniesienie dostępnymi środkami. Istnieją bowiem możliwości spowodowania tej zmiany i to — jak łatwo się domyśleć — za pomocą pewnych, acz nieznacznych odchyleń w sposobie elaboracji ładunków. Zrozumiałą jest przy tym rzeczą, że dążyć będziemy do takiej zmiany, by osiągnąć jak największy procent pokrycia, przy zachowaniu jednak jego równomierności i odpowiedniej siły przebicia, o czym będzie mowa dalej. Takie dobieranie naboju do posiadanej przez nas strzelby, jest nipulacją trochę żmudną, a nawet związaną z pewnymi kosztami, uwzględniwszy cenę kilkunastu, a czasem i więcej naboi, jakie musimy dla osiągnięcia celu poświęcić, lecz daje w zamian satysfakcję najekonomiczniejszego, a zarazem maksymalnego wyzyskania własnej broni śrutowej.

W tym celu strzelamy jednakowymi nabojami (z tej samej lufy) 3 do 4 razy, by uniezależnić się od tzw. strzałów „dzikich", tj. zupełnie złych, które mogą się czasem zdarzyć. Wszystkie wyniki, otrzymane po nastrzeleniu tarcz, wnotujemy w protokół i przeprowadzamy odpowiednie porównania. Zmiany ładunków prochu i śrutu dokonujemy jednocześnie, wychodząc od norm zasadniczych, uwidocznionych na naszej tabelce. Jest rzeczą zrozumiałą, że nie można zmian tych przeprowadzać nieograniczenie, gdyż zagrażałoby to całości broni i zdrowiu eksperymentatora. Ogólnie powiedzieć można, że zmiany dawki prochu bezdymnego nie mogą być większe jak 0,1 grama w dół lub w górę określonej normy, co dla prochu dymnego wynosi 0,5 grama, zaś dla śrutu najwyżej 5 gramów. Również wypróbowywać trzeba śrut różnej grubości, gdyż znaną jest rzeczą, że pewne bronie (np. nadlufki tzw. „boki") biją doskonale śrutem 3 mm, natomiast śrut grubszego kalibru rozrzucają. Pamiętać stale musimy o zależności między sobą: ciśnienia, gęstości strzału i ostrości, czyli siły przebicia śrucin, co z kolei uzależnione jest od ładunku prochu i śrutu. Musimy bowiem znaleźć taki ładunek, który dawałby maksymalne, a równocześnie równomierne, pokrycie przy wystarczającej sile przebicia.

Procent pokrycia, który dla danej broni, przy użyciu takich samych ładunków, jest cechą dosyć stałą, może wahać się w dużych granicach (praktycznie od 25 do 85%), zależnie od długości luf i sposobu ich wiercenia, wielkości czoków, stopnia zużycia i szeregu innych właściwości, cechujących każdą strzelbę. W normalnych warunkach strzela się na polowaniach przeważnie blisko. Na taką odległość broń o wysokim pokryciu, tj. strzelająca bardzo skupienie, jest powodem częstych chybień, szczególnie w rękach niezbyt wprawnego myśliwego. Dlatego za najkorzystniejsze pokrycie na polowaniu uważać należy od 50 do 60%. Broń wykazująca wyższe pokrycie, jest, naturalnie, lepsza, lecz w ręku bardzo wprawnego strzelca, zaś broń dająca pokrycie wyższe niż 75%, powinna być używana jedynie do rzutków.

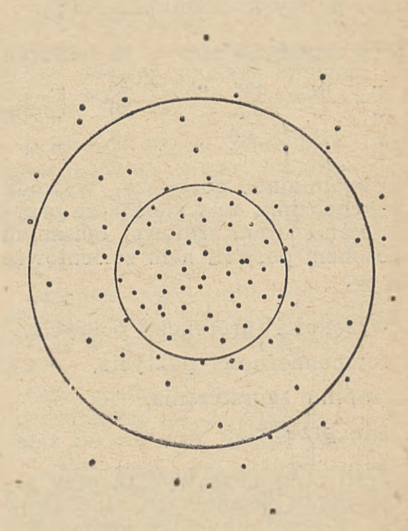
Niezależnie od procentu pokrycia broń wykazuje przeważnie tendencję większego skoncentrowania śrucin w środku tarczy, czyli tzw. zagęszczenia. Szczególnie uwidacznia się tu wpływ czoka, gdyż większy czok daje zawsze większe zagęszczenie. Zagęszczenie to możemy określić wyraźnie, biorąc stosunek trafień *w mniejszym kole* do ilości trafień w *pozostałym pierścieniu* tarczy. Ponieważ powierzchnia



Rys. 2. **Pokrycie idealne, równomierne — 65%**

pierścienia zewnętrznego równa się dokładnie *trzem* powierzchniom koła środkowego, przeto, gdyby rozłożenie śrutów było jednakowe na całej powierzchni tarczy, stosunek ten wynosiłby 1 : 3 (rysunek 2).

Przy zachowaniu wysokiego procentu pokrycia byłby to stosunek najbardziej idealny dla myśliwego, lecz w rzeczywistości przekonywujemy się, że wewnętrzne koło wykazuje znacznie większą ilość trafień niż równoważna mu część pierścienia zewnętrznego, czyli posiada większe zagęszczenie (rysunek 3). A więc ze stosunku trafień w kole wewnętrznym do pierścienia zewnętrznego, wynika stopień centralnego zagęszczenia śrucin. Broń, wykazująca duży stopień zagęszczenia centralnego, nadaje się tylko dla dobrego strzelca, gdyż wymaga precyzyjnego celowania, dając wąski i skupiony strumień wyrzuconych śrutów. Posiada ona natomiast tę przewagę, że umożliwia strzelanie do zwierzyny na dalszą odległość aniżeli broń, bijąca mniej skupliwie, warunkiem jednak jej trafienia jest niepopełnienie nawet najmniejszych błędów w celowaniu. I tutaj znajdujemy przyczynę, dlaczego myśliwy, nie celujący do zwierzyny zbyt dokładnie, raczej postrzeli tylko bocznymi śrutami zająca z broni, mającej duże skupienie, a częściej go zabije ze strzelby o większym rozrzucie.



Rys. 3. **Pokrycie nierównomierne, również 65%**

Działanie strzału na zwierzynę zależy od pokrycia i siły przebicia śrucin. O ile pokrycie w przeważającym stopniu zależy od jakości broni o tyle siła przebicia zależy od ładunku prochu i średnicy śrutu. Odpowiednio sporządzony ładunek nadaje śrutom wystarczającą siłę przebicia, a ta zależy jedynie od ich szybkości końcowej, która z kolei uwarunkowana jest wielkością chyżości początkowej. Szybkość tę zwiększyć można przez zwiększenie ładunku prochu lub zmniejszenie ładunku śrutu, lecz do pewnej tylko granicy, ponieważ powstającego w

ten sposób zbyt wielkiego ciśnienia może lufa nie wytrzymać; wyrzucone zbyt dużą siłą śruty ulegają znacznemu zdeformowaniu, co gwałtownie zmniejsza ich chyżość i poza tym powoduje większy rozrzut. Ogólnie znanym sposobem mierzenia ostrości strzału ,czyli siły przebicia śrucin, jest obliczenie ilości przestrzelonych 1 milimetrowych tekturek, ustawionych jedną za drugą w odległości 1 cm. Okazuje się wtedy, że ilość ta zależy od ładunku prochu i grubości śrutu. Wystarczającą siłę przebicia posiadają ładunki, których śruty (co najmniej trzy) po wystrzeleniu przebijają:

przy śrucie	2,5 mm	—	12	tekturek
„ „	3,0 „	—	22	„
„ „	3,5 „	—	30	„
„ „	„4,0 ,	—	40	„

Uogólniając powyższe wywody przychodzimy do wniosku, że przystrzelanie broni śrutowej opisanym sposobem pozwoli nam zorientować się w:

wysokości (procencie) pokrycia,

równomierności pokrycia,

stopniu zagęszczenia,

sile przebicia.

Jeśli otrzymane wyniki, przy zastosowaniu normalnych ładunków (tzn. z zasadniczymi dawkami prochu i śrutu) nie są zadawalające, możemy rozpocząć próby elaborowanymi nabojami o zmienionych normach śrutu i prochu, lecz w dopuszczalnych granicach, wyszukując najodpowiedniejszy ładunek dla próbowanej broni. Niezależnie od tego zbadać możemy zachowanie się różnych kalibrów śrutu po wystrzale, na co niektóre rodzaje broni są dosyć wrażliwe. Dążeniem i celem wszystkich tych prób będzie uzyskanie strzału wystarczająco ostrego, o pokryciu równomiernym i wynoszącym dla przeciętnego myśliwego od 50 do 60%. ,

---

*) Dla wyjaśnienia podam, że po rozebraniu 10 takich naboi (z różnych paczek), znalazłem przy kalibrze 16 ładunki prochu od 1,62 do 1,78 g., zamiast 1,80 g. Również ładunki śrutu wykazywały różnice od 2 do 3 g. i zawsze były niższe od właściwej normy tj. 28 g. przybitki były zbyt luźne, a niezależnie od tego składały się z 2, a czasem nawet 3 oddzielnych części, nie mówiąc już o tym, że podczas obecnego sezonu łowieckiego trzykrotnie zetknąłem się z fałszywą numeracją śrutu. Np. po otwarciu ładunków oznaczonych 6 (2.5 mm) znalazłem wewnątrz śrut 4 mm; w drugim wypadku było odwrotnie, co również potwierdzić mogą inni koledzy myśliwi.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO

Czy głos wołającego na puszczy?...

Zapewne przypominają sobie Koledzy związkowcy z lat przedwojennych skromną rubryczkę w Łowcu Polskim, spotykaną przez szereg lat dosyć często na jego łamach, pt. „Dobre i złe" i podpisywaną kryptonimem „Wuzet".

W rubryczce tej „obrabiało się" wszelkie cudaczne wiadomości, reportaże, a nawet niektóre „poważne" artykuły na tematy łowieckie, fabrykowane przez ludzi nie tylko nic wspólnego nie mających z łowiectwem, lecz piszących rzeczy po prostu przeraźliwie naiwne i niekompetentne.

Nie tylko jednak ta rubryczka w Łowcu Polskim działała w tej przykrej sprawie, prosząc i zaklinając całą prasę codzienną o stałe utrzymywanie kontaktu z PZŁ w kwestiach łowieckich, niekiedy wyśmiewając niefortunnych autorów. Niżej podpisany, będąc nieszczęsnym autorem zamieszczanych w niej „revue des absurds cynégetiques", poruszał również tę sprawę w szeroko umotywowanych artykułach na łamach poważniejszych pism codziennych.

Po paru latach nastąpiła jaka taka poprawa, tworzono nawet w niektórych pismach „kąciki łowieckie" których redagowanie powierzono odpowiedzialnym fachowo związkowcom. Nie przeszkadzało to jednak dalszemu publikowaniu w innych istnych „wężów morskich" na tematy łowieckie, nie licząc zwykłych dzikich kaczek... dziennikarskich.

Od pięciu lat, gdy prasa polska znów doszła do głosu, coraz częściej i coraz więcej mówi się w niej o łowiectwie, w miarę jak dziedzina ta, jako jeden z mniejszych lecz nader żywotny, pożyteczny i ciekawy sektor gospodarki ogólnokrajowej, popularyzuje się w świadomości niemyśliwskiej części społeczeństwa.

Jest to zjawisko normalne, nader pożądane i było by wielką pomocą dla dalszego rozwoju łowiectwa, podporą moralną w nieustającej działalności powołanych do prowadzenia nawy łowieckiej czynników, gdyby to wszystko co czytamy w prasie o łowiectwie było w każdym wypadku (nie tylko w wyjątkowych) bardziej fachowe, prawdziwe, całkowicie usprawiedliwione i gdyby tam używano języka... łowieckiego, słowem gdyby autorzy byli chociaż myśliwymi z prawdziwego zdarzenia, jeśli nie publicystami łowieckimi.

Niestety, ubóstwo fachowości w naprędce skleconych publikacjach jest i obecnie niejednokrotnie tak beznadziejne, że nie potrzeba wielkiego doświadczenia życiowego, ażeby jasno zdać sobie sprawę z tego, ile szkody może przynieść sprawie — być może działający w najlepszej wierze — niepohamowany w swych zapałach literackich reporter lub „specjalny korespondent", choćby tylko przez mimowolne ośmieszenie przedmiotu, o którym pisze jak ślepy o kolorach.

A my, myśliwi, na ogół czytamy te elukubracje jak bajeczki o żelaznym wilku, albo jak kawały z pisma humorystycznepo — i uśmiechamy się „pod wąsem" z naiwności lub pewności siebie ich autorów. To za mało. Stanowczo za mało.

Z uwagi na szkodę, jaką przynoszą tego rodzaju banialuki, na szkodę zupełnie poważnej sprawie: naszej pracy, naszej organizacji, wychowywaniu nowych myśliwych, podnoszeniu prestiżu łowiectwa na coraz wyższy poziom — winniśmy koniecznie, jako organizacja powołana do tego, umieć zaprotestować.

Powinniśmy zdołać przekonać redaktorów naszej prasy codziennej, że i o łowiectwie należy pisać fachowo, jeśli nie pisze się humoreski lub też satyry, jeśli pisze się poważnie, zdając sobie sprawę z wagi zadań, stojących przed współczesnym łowiectwem, jeśli piszący poczuwa się do obywatelskiego obowiązku współdziałania w odbudowie tej dziedziny również przez wojnę zniszczonej i w jej rozbudowie gospodarczej na właściwych zasadach.

Powinniśmy zaofiarować nasze fachowe usługi i ku obustronnemu pożytkowi wejść w porozumienie z redakcjami pism codziennej prasy w kwestii stałej współpracy. Wówczas nie będą ukazywały się niesprawdzone przez nikogo, wyssane z palca wiadomości, jak np.: że na wyspie Wolin w woj. szczecinskim pojawiły się żubry; że gdzieś tam w Białostocczyźnie wilki rozszarpały „na kawałki" samotnie idącą kobietę; że „plaga" dzików wzrosła do tego stopnia, iż należy je „wytępić"; albo że na głuszce można polować w grudniu — itp. itp.

Nie sądzę, aby redaktorzy prasy codziennej nie chcieli zrozumieć takiego apelu w interesie placówki produkcyjnej i w interesie własnych organów prasowych. Nota bene, gdy placówce tej czyni się awans, biorąc pod uwagę jej gospodarcze znaczenie i uświadamiając o nim ogół społeczeństwa.

Jestem przekonany, że jeśli chodzi o prowincję i o gazety regionalne, to wszędzie w terenie znajdą one chętnych korespondentów łowieckich spośród przedstawicieli wojewódzkich i powiatowych rad łowieckich, doświadczonych myśliwych i fachowców. Natomiast stołecznej prasie pomoc w tym kierunku zapewne najchętniej okażą wszyscy z kolei przedstawiciele Komitetu Redakcyjnego Łowca Polskiego i poza nimi wszyscy znani publicyści łowieccy.

Wybór piszących fachowców łowieckich jest duży, trzeba tylko okazać nieco dobrej woli i naprawdę poważnie potraktować łowiectwo, które już dziś przestało być „jaśniepańską zabawką".

J. JASTRZĄB-KWIATKOWSKI

„MYŚLIWY"

Wśród społeczeństwa naszego istnieje ogólne przekonanie, że jeżeli ktoś jest leśnikiem — jest zarazem myśliwym. Twierdzenie słuszne, gdyż tak zasadniczo powinno być. Leśnik bowiem zżyty z lasem, zżyty jest z jego mieszkańcami; kocha swój zawód; kocha las i zamieszkałą w nim zwierzynę; troszczy się o nią — jest doskonałym hodowcą, powinien zatem być i myśliwym, ale z tych czy innych względów, niejeden nie jest w posiadaniu broni myśliwskiej — nie zawsze poluje. A jeżeli w jego rewirze urządzane są polowania, wówczas jako gospodarz rewiru występuje... z laseczką w ręku.

Niejednokrotnie spotyka się właśnie takich leśników. Lubią oni hodować zwierzynę, ale nie lubią jej uśmiercać — nie lubią polować.

Społeczeństwo nasze nie może sobie jednak pomieścić w głowie, że ten czy ów leśniczy nie posiada broni myśliwskiej.

— Pan jest leśniczym? — spyta przygodny znajomy leśniczego w mundurze.

— Tak! — brzmi krótka odpowiedź.

— Ho! Ho!... przed wojną i ja polowałem.

— Ja także.

— No, pan polował i poluje, bo jest pan leśniczym.

— Owszem leśniczym jestem, ale nie poluję.

— Jak to?!... to pan nie posiada broni myśliwskiej?

— Nie.

— To cóż z pana za... leśniczy?

Leśniczy uśmiecha się.

— Panie — ciągnie dalej przygodny znajomy — mój ojciec był także leśniczym, ale u nas w domu były cztery strzelby, dwa sztucery...

— Dwa karabiny maszynowe, skrzynka granatów — śmiejąc się, przerywa mu leśniczy.

— E!... widzę, że pan żartuje, panie leśniczy. Opowiem panu kilka przeżyć z polowań, w których brałem udział, a przekona się pan, że... znam się na sztuce łowieckiej.

— Nie, przeczę temu... Możliwe. Może pan być dobrym myśliwym, może nawet lepszym od niejednego... leśniczego.

— No, lepszym, to nie — zaprzecza myśliwy — ale dużo polowałem i znam się na polowaniu. Zaraz panu opowiem, jak się to niegdyś polowało. O! już dawno nie polowałem, ale gdybym tak dostał w garść strzelbę, to kto wie czy nie zakasowałbym niejednego ; dzisiejszego myśliwego.

— Kto wie?! — potwierdza leśniczy.

I „myśliwy" zaczyna opowiadać o swoich polowaniach i przygodach myśliwskich, które leśniczy, chcąc nie chcąc — musi wysłuchać:

— Kiedy byłem jeszcze młodym człowiekiem i mieszkałem u ojca, który, jak panu zaznaczyłem, był leśniczym, każdą wolną chwilę spędzałem ze strzelbą na ramieniu w lesie lub nad stawami — na kaczkach. Zawsze miałem doskonałe wyniki.

Pewnego razu, idę sobie brzegiem stawu, a tu, panie, całe stado kaczek zrywa się przede mną; momentalnie podnoszę strzelbę i... walę z jednej, potem z drugiej lufy w unoszące się w powietrze... stado kaczek.

Posypały się pióra i... kilka spada na dół; kilka natomiast, które śrut mojej „niezawodnej" dubeltówki sięgnął także, odleciało poza staw i... padło w zaroślach. Zaledwie trzy czy cztery uszły z życiem.

Były to czasy ... panie leśniczy — entuzjazmuje się były „myśliwy". Było moc ptactwa, moc różnej zwierzyny, było do czego strzelać. A dziś szkoda nawet kupować fuzję. Nie opłaci się, panie leśniczy.

— No, widzi pan, dlatego nie mam strzelby — śmieje się leśniczy, klnąc w duchu, że takim rzeźnikom dawano broń myśliwską do ręki. I nie dając poznać po sobie najmniejszego niezadowolenia z tego rodzaju polowania na kaczki, z zainteresowaniem słucha dalej opowiadania „myśliwego":

— Innym razem, znalazłem się znowu nad tym samym stawem. W pewnym momencie widzę tuż obok brzegu stado pływających kaczek. Nie zastanawiając się wiele walę z jednej, potem z drugiej lufy prosto... w stado. Cóż za... „emocja"! Zebrałem... 12 sztuk. To nie każdemu myśliwemu się uda — dwoma strzałami dwanaście sztuk.

— Tak! Tak! — pokiwał leśniczy głową i, nie przerywając arcyciekawych opowiadań „myśliwego", słuchał dalej:

— Już tego dnia nie polowałem więcej. Pęk kaczek zarzuciłem na plecy i zadowolony z doskonałego rezultatu dzisiejszego polowania — skierowałem swe kroki do domu.

Po drodze wstąpiłem do jednego ze znajomych gospodarzy, mieszkającego niedaleko stawu, na mleko. Położyłem swoje upolowane kaczki obok siebie i popijałem podane mi mleko, gdy wtem gospodyni, spojrzawszy na kaczki, z przerażeniem zawołała:

— „Na miłość Boską!!!... wybił pan wszystkie moje kaczki".

Za kaczki musiałem babie zapłacić. Ale... emocja, panie leśniczy, więcej znaczy niż tych parę złotych.

Leśniczy śmieje się. Już chciałby „myśliwemu" zwrócić uwagę i nagadać „rupieci", ale wstrzymuje się i słucha dalej arcykomicznych jego opowiadań o „emocjonujących polowaniach" na... kaczki.

— Opowiem teraz panu — ciągnie dalej „myśliwy" — jak pewnego razu polowałem na... sarny i jaką miałem przygodę.

— Zamiast sarnę czy rogacza — śmieje się leśniczy — zabił pan pasącą się w lesie krowę, co?

— E!... nie — zarumienił się nieco, widząc, iż leśniczy kpi z niego, że nie rozróżniał dzikich kaczek od domowych.

— Więc, jak to było z tymi sarnami?

— Przy jednej dużej polanie, gdzie wychodziły sarny — zaczyna opowiadać — stanąłem pod starym, grubym dębem i — czekam.

Wtem na strzał wychodzi piękny rogacz, a za nim sarna. Stanęły obok siebie, tak że jednym strzałem — myślę sobie — będę miał dwie sztuki.

Podnoszę sztucer — mierzę. Już palec mam na cynglu, gdy wtem jak palnie mnie ktoś w prawy policzek, tak że sztucer wypadł mi z rąk, a ja o mało nie przewróciłem się na ziemię.

Oglądam się — nie ma nikogo. Strach mnie wziął wielki. Pozostawiając w lesie sztucer, uciekłem do domu.

Gdy opowiedziałem o tym ojcu, dowiedziałem się, że właśnie na tym dębie powiesił się kiedyś gajowy.

— Widocznie był dobrym myśliwym, hodowcą zwierzyny i nie mógł patrzeć na pańskie barbarzyństwa— zabrał wreszcie głos leśniczy. — Nawet duchy prawidłowych, dobrych myśliwych-hodowców reagują na tak barbarzyńskie wyczyny, jakie uprawiał pan, jako „myśliwy" na tak zwanych „polowaniach". Był pan gorszym od kłusownika, a pańskie wyczyny — to zwykłe ordynarne kłusownictwo, a nie żadne myślistwo.

„Myśliwy" spojrzał na leśniczego i, przyglądając się mu w milczeniu, analizował swoje przed chwilą wypowiedziane zdania, chcąc dopatrzeć się w nich owych złych stron polowania, w których brał udział, będąc młodym człowiekiem.

— Dzisiejszy myśliwy — tłumaczył leśniczy — zanim otrzyma do rąk broń, musi zostać członkiem Polskiego Związku Łowieckiego i kółka myśliwskiego, a co najważniejsze — musi przed tym złożyć egzamin łowiecki.

I żaden dzisiejszy myśliwy nie będzie strzelał tak, jak to czynił pan, panie „myśliwy" — „waląc z jednej, potem z drugiej lufy"... w stado kaczek, z którego część niewielka pada trafioną śmiertelnie, większa natomiast część... raniona, ginie w męczarniach wśród zarośli.

Żaden także nie będzie strzelał do stada pływających kaczek, ani nie skorzysta z tak „wspaniałej" okazji, jaką pan miał przy owym dębie, na rozległej polanie w lesie.

Dzisiejszy myśliwy — musi być godny noszenia tego miana, musi on znać zwierzynę łowną oraz przepisy ustawy łowieckiej, a biorąc udział w polowaniach, musi stosować się do etyki łowieckiej.

A. ROWIŃSKI

Notatka do hodowli krekuch

ARTYKUŁ Kolegi Leona Popławskiego o hodowli krekuch przypomniał mi moje zabiegi odnośnie hodowli tych kaczek.

Tak jak Kolega Popławski, hodowlą zająłem się z amatorstwa. Hodowałem jelenie, sarny, różnego gatunku szlachetne bażanty, kuny leśne, miałem nawet i wydrę oswojoną.

Krekuchy zacząłem hodować z zupełnie innych pobudek.

Do kopalni, gdzie byłem czynny, należał oddalony o 2,5 km od mego mieszkania staw wielkości 3,5 ha. Kształt jego był wydłużony; w pobliżu tamy nie było można z jednej strony na drugą sięgnąć strzałem śrutowym. Staw był idyllicznie położony. Od południowej strony ciągnęła się 3—5 metrów wysoka, a do 20 m szeroka skarpa, porosła różnego rodzaju krzakami, dzikim bzem, tarkami, kaliną itp., a wolne miejsca były zalesione świerczyną. Północna strona, o nieco niższej skarpie, była również zadrzewiona olszą, żarnowcem, dzikim bzem. Oprócz tego wpadały z tej strony dwa jary zalesione, z gęstym podszyciem i wysokimi trawami. Całości patronowały stare dęby o pięknych, rozłożystych konarach, stare świerki, dzikie grusze i sosny.

Był to idealny teren na bażanty, które chowały się tam w dzikiej hodowli, zasilane rok rocznie świeżą krwią. Panował spokój, czego dowodem, że przebywały latem w zagajeniu sarny. Nikt obcy tam nie chodził i nie płoszył, bo staw był położony tuż przy dawnej granicy niemieckiej, a straż graniczna nie pozwalała obcym na przebywanie w okolicy stawu. Z powodu pięknego położenia przebywałem często nad stawem.

Dziwiło mnie, że mimo tak idealnego i spokojnego położenia, na stawie nigdy nie widziałem dzikich kaczek, choć perkozy i wodne kurki trzymały się rok rocznie. Przemyśliwałem więc nad tym, co zrobić, aby tam dochować się dzikich kaczek.

Będąc niegdyś w Wielkopolsce w gościnie u znajomego, widziałem na pół dzikie kaczki na dwóch średniej wielkości stawkach w parku majątku, położonego w okolicy Czempina. Na stawach były usypane wysepki, na których stały budki, jako przystań dla kaczek. Darowano mnie dwie pary, które przywiozłem na Śląsk. Było to jesienią. Przezimowały one na podwórzu, w którym znajdował się mały basen z wodą. Wiosną puściłem obie pary na staw, dożywiając je regularnie. Przez pewien czas widywałem na stawie obie pary, podczas lęgu natomiast pokazywały się na wodzie tylko kaczory. W końcu czerwca jedna kaczka wyprowadziła jedenaście młodych, druga zaginęła, widocznie ją i jej gniazdo spotkało nieszczęście. Wszystkie jedenaście sztuk chowało się dobrze, ale gdy wyrosły, okazało się, iż dwie z nich były zupełnie białe. Widocznie płynęła w nich krew domowych kaczek.

Kaczki na stawie wyrosły, wypierzyły się, od czasu do czasu podnosiły się z wody, zataczały kręgi nad wodą i znów zapadały na staw. Nie strzelałem do nich, aby ich nie płoszyć, sądząc, że może na zimę stare kaczki przeprowadzą się z młodymi do domu. Ludzi nie bały się, choć zawsze trzymały się w pewnej odległości. Usiłowałem odłowić je, ale złapała się tylko jedna. Gdy nadchodziła zima i nastąpiły przymrozki, pewnego dnia kaczki ulotniły się wszystkie, i nie zjawiły się więcej następnej wiosny.

Niezależnie od tych kaczek kupiłem latem na miejskim targu od przekupki z drobiem małą, bystrą kaczkę o upierzeniu dzikim. Właścicielka zachwalała ją, twierdząc, że to dzika kaczka, ale że nie ucieka ona z domu. Kupiłem ją i puściłem na podwórze. Obracała się w towarzystwie domowych kaczek, lecz przefruwywała przez wysoki płot, za którym leżał inny staw. Tam bawiła się godzinami, choć wieczorem wracała zawsze do zagrody.

W maju następnego roku kaczka znikła z widowni, a po 4 tygodniach wywiodła 13 kacząt o wyglądzie dzikich i zaprowadziła je na sąsiedni staw. Po paru usiłowaniach udało się sprowadzić ją razem z młodymi na podwórze, gdzie po kilkudniowym odosobnieniu przyzwyczaiły się do domowego obejścia. Ojcem był domowy kaczor, ale młode były wszystkie w typie matki o upierzeniu dzikich kaczek. Jaki je los spotkał, nie wiem, bo było to jesienią roku 1939, w którym wybuchła druga wojna światowa.

Uwaga redakcji. Zamieszczając interesującą notatkę Kol. Rowińskiego, redakcja zauważa, iż nazwą krekuchy zwykliśmy oznaczać gatunek na pół dzikich kaczek, hodowanych przed wojną na Polesiu, a służących m. in. do wiosennego polowania na kaczory. W sensie rozszerzającym można niewątpliwie oznaczać tą nazwą każdą kaczkę, niezależnie od jej pochodzenia i upierzenia, byleby tylko służyła nam do wiosennego wabienia kaczorów (analogicznie psem gończym będzie nie tylko litewski ogar, ale również psy innych ras, jak basety, bigle itd., byleby były używane do gonienia głosem zwierzyny).

Z uwagi na brak u nas krekuch, redakcja podziela pogląd o celowości przeprowadzenia prób wznowienia ich hodowli, posługując się w tym celu bądź tzw. kaczkami ogrodowymi (parkowymi), bądź też mieszańcami dzikich kaczek krzyżówek z domowymi.

Obrączkowanie kaczora



JAN B. SZCZEPSKI

Obrączkowanie mew w Miliczu

WIELOLETNIE doświadczenia z obrączkowaniem wykazały, że najlepsze i najszybsze wyniki o wędrówkach pewnego gatunku ptaka osiąga się przez jego masowe znakowanie. Wiadomą jest rzeczą, że najłatwiej przeprowadzić to u ptaków, gnieżdżących się koloniami, jak np.: czapli, gawronów, mew, rybitw, szpaków, jaskółek itd. Masowe i celowe obrączkowanie określonych gatunków daje bardzo szybkie rezultaty, pozwalające na opracowanie zagadnień, związanych z wędrówkami, koczowaniem, przesiedlaniem, przywiązaniem do stron rodzinnych i lęgowisk, powrotem do kolonii itp.

W Polsce powojennej planowym obrączkowaniem objęto, między innymi, mewy śmieszki (Hydrocoloeus ridibundus Linn), które w dużych ilościach gnieżdżą się na Pomorzu Zachodnim, Mazurach, szczególnie zaś na Górnym i Dolnym Śląsku. Gatunek ten zasługuje jeszcze na uwagę ze względu na dość ciekawą biologię, łatwość obrączkowania oraz stosunkowo duży procent wiadomości powrotnych, wynoszący 3,7% (Estonia), 4,3% (Węgry), 4,4% (Anglia) i 5,2% (Helgoland).

Ponieważ na Śląsku są największe skupienia mew, śmieszek, a przy tym równocześnie znajduje się tam silnie rozgałęziona sieć współpracowników naszej Stacji Ornitologicz nej, więc w pierwszym rzędzie postanowiono wykorzystać do badań i obserwacji tamtejsze tereny. Wybór padł na rezerwat w Miliczu, gdzie już od dawna prowadzi się obrączkowanie, zapoczątkowane na kilkanaście lat przed ostatnią wojną.

W roku 1910 ilość gnieżdżących się na Śląsku mew śmieszek obliczano przeciętnie na 10.000 do 15.000, a w roku 1922 już tylko 10.000 par (**PAX 1925**). Na samym Górnym Śląsku, według ostatniego spisu (**BRINKMANN 1944**), gnieździło się 7.175 par, w przeciwieństwie do roku 1922, w którym zanotowano tylko 960 (**PAX 1925**). W Miliczu, w roku 1922, stan śmieszek obliczano na 2.230 par. Obecnie liczba ich spadła do około 1.000 par. O ilości gnieżdżących się śmieszek świadczą również cyfry zebranych jaj na Śląsku, które w roku 1922 wynosiły 60.000 sztuk, z tego na sam powiat lignicki przypadało 19.000, a na powiat milicki — 35.000 sztuk. Jaja te sprzedawano do Francji, a część ich zjadała również ludność południowych Niemiec.

Gospodarstwo rybne Państwowych Nieruchomości Ziemskich w Miliczu, do którego należy rezerwat ptasi, obejmuje 21 stawów o łącznej powierzchni circa 1.000 ha. Stawy te leżą w dolinie Baryczy, wśród ogromnych błot i częściowo lasów dębowych. Rezerwat milicki słynie z wielu rzadkości ornitologicznych, niespotykanych w innych częściach kraju. Wprawdzie śmieszkę trudno zaliczyć tu do rzadkości, lecz ponieważ gnieździ się w dużych skupieniach, więc z tych względów zasługuje na szczególną uwagę. Liczba ich rok rocznie ulega zmianie. Na podstawie osobistych obserwacyj przypuszczam, że w ostatnich latach gwałtownie maleje. Kolonie są coraz mniej liczne. Przenoszą się co roku na inne stawy, a nierzadko wskutek niepokojenia po kilka razy w okresie lęgowym. Dlatego trudno nieraz ustalić, na którym stawie wyprowadzą młode, co w wielkim stopniu utrudnia zorganizowanie obrączkowania.

Na tego rodzaju trudności natrafiła Stacja w tegorocznej akcji. Dzięki jednak stałej obecności w Miliczu współpracowników terenowych, udało się uchwycić najodpowiedniejszy moment do obrączkowania. W dniach od 22 — 24 czerwca personel Stacji, wraz z tamtejszymi współpracownikami, przeprowadził obrączkowanie w kolonii na stawie Gadzinowo, na którym gnieździło się w trzech miejscach około 400 par. Akcja nie była łatwa, gdyż poruszanie się po stawie utrudniała pogoda (zimno, duży wiatr) oraz olbrzymia ilość skoszonych szuwarów, pływających na powierzchni. Operowanie łódką pychówką wymagało w tych warunkach dużej zręczności. Obrączkowanie odbywało się w szybkim tempie i nie trwało w każdej kolonii dłużej, jak pół godziny. Przejmujące zimno i wiatr nie pozwoliły na brodzenie w wodzie (głębokość 60—80 cm), co uniemożliwiło wyłapywanie uciekających piskląt, chroniących się w nieskoszonych szuwarach. Ta właśnie okoliczność ujemnie wpłynęła na liczbę zaobrączkowanych okazów, która ogółem wyniosła 225 sztuk. Akcja nie mogła trwać długo, gdyż chodziło o niepłoszenie z gniazd ptaków wysiadujących. Pisklęta wylęgłe w późniejszym okresie zaobrączkowali miejscowi współpracownicy Stacji.

Mewa śmieszka tworzy na obszarze swego rozmieszczenia geograficznego szereg populacyj, które poznano dzięki masowemu obrączkowaniu tego gatunku. Każda populacja ma swoje odrębne zimowiska. Śmieszki populacji zachodnio-środkowo-europejskiej są na ogół osiadłe. Rzadko wędrują na południowy zachód. Np. niektóre angielskie śmieszki gniazdowe stwierdzono na zimowiskach w północnej i zachodniej Francji, Portugalii, południowej Hiszpanii, a także w Holandii, Belgii i Danii. Śmieszki rosyjskie (z jeziora Ładoga) zimują częściowo w zatokach Bałtyku, w środkowych Niemczech, nad Dunajem, w północnej Italii oraz Dalmacji. Niektóre osobniki tej populacji spędzają zimę nad Morzem Czarnym i w Grecji. Śmieszki populacji węgierskiej posiadają swe zimowiska w południowych Niemczech, Szwajcarii, Italii, południowo-wschodniej Francji, w Algierze, Tunisie itd.

Po skończonym okresie lęgowym śmieszki rozpoczynają wędrówkę koczowniczą, rozchodząc się od miejsca rodzinnego we wszystkich kierunkach. Dopiero w późniejszych miesiącach ptaki obierają kierunek właściwy danej populacji. Śmieszki wiernie powracają do swoich miejsc lęgowych. Przesiedlenia do innych kolonii są na ogół rzadkie. Chętnie korzystają z jednych i tych samych zimowisk. Znany jest wypadek stwierdzenia pewnej śmieszki, która przez pięć lat z rzędu zimowała w tej samej okolicy.

Jeżeli chodzi o śląskie śmieszki, to dotychczasowe wiadomości powrotne o okazach znakowanych wskazują na zimowanie ich w północnej Francji, południowej Hiszpanii, w Belgii, na Bałkanach (Kroacja) i Sardynii. Milickie śmieszki stwierdzono we Francji, Saksonii itd. Odległości wędrówek śmieszek śląskich (licząc od miejsca zaobrączkowania) wynosiły 280, 400, 600, 650; 900; 1.430 i 2.350 kilometrów.

Systematyczne, masowe obrączkowanie mew śmieszek w Polsce przysporzy nam niewątpliwie nowego materiału, pozwalającego na wyjaśnienie wielu zagadnień ogólnobiologicznych.

Szopy na Pomorzu

Sopockie Koło Myśliwskie Wybrzeża miało spotkanie z nienotowanym dotąd u nas szopem (Procyon lotor), zwierzęciem futerkowym, pospolitym w Ameryce Północnej i Południowej. Spotkanie to odbyło się w warunkach następujących:

W dniu 9 października 1949 r. polowano na terenach nadleśnictwa Łeba w leśnictwie Szenura, powiat Lębork. Teren podmokły, poprzecinany zarośniętymi rowami, podszycie lasu dość bogate w jałowiec i krzewy liściaste. O godzinie 16, po zakończeniu miotu, usłyszano w zagajniku mocne ujadanie najpierw jednego psa, a potem całej sfory. Do psów podbiegli naganiacze i odebrali szopa, który dawał słabe oznaki życia. Ułożono go na samochód ciężarowy, z którego szop w pewnym momencie wyskoczył i znikł na skraju lasu. Naganiacze oświadczyli, że drugi podobny okaz szopa zabito(!) przed p u tygodniami na terenie tegoż samego leśnictwa.

STEFAN WIKTOR

Laski myśliwskie

Ważnym i bardzo praktycznym środkiem pomocniczym podczas polowania, a w szczególności przy podchodach — jest laska.

Przy tego rodzaju łowach posługiwałem się, na wzór turystów, a przede wszystkim myśliwych polujących w Alpach, tyczką, która równocześnie służyła mi świetnie jako laska i jako doskonała podpórka do strzału. My, stara gwardia, którzy polowaliśmy w górach, wprost nie możemy sobie wyobrazić chodzenia na podchody bez takiej laski. Naturalnie, tak jak wszędzie i ze wszystkim, trzeba się nauczyć i przyzwyczaić do chodzenia z laską, by umieć w każdej sytuacji jej odpowiednio użyć. Jest znakomitą podpórką do każdego rodzaju strzałów, daje dobre oparcie tak do strzału w górę, w dół i wprost do zwierzyny stojącej, jak i ciągnącej. Jest to narzędzie proste, nieskomplikowane, a przez posuwanie ręki lewej w górę lub w dół wzdłuż tyczki, reguluje strzał według potrzeby — wyżej lub niżej. Początkującym zdaje się być wszędzie tylko balastem, który ciągle zawadza, ale gdy się do niej przyzwyczają, to nie tylko, że im w żadnej okoliczności nie zawadza, lecz wręcz przeciwnie, staje się wprost niezbędna.

Tyczka powinna być tak długa, jak wysoki jest myśliwy, któremu służy, zaś ani za gruba, ani zbyt cienka. Najpraktyczniejszy do tego celu jest prosty patyk leszczyny, wycięty późną jesienią i przez zimę wysuszony. Leszczyna, jako drzewo po wysuszeniu elastyczne i lekkie, nadaje się najlepiej na tego rodzaju laski. Polecam przed każdym sezonem wysmarować, a nawet namoczyć ją w oleju lnianym, gdyż staje się jeszcze bardziej trwała i jeszcze bardziej elastyczna. Przy używaniu laski w terenach kamienistych można ją na końcu ostro okuć, jednak wtenczas chodzenie z nią wymaga uwagi, aby nią nie stukać.

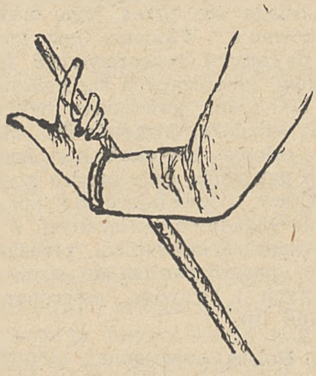
Używamy laski myśliwskiej normalnie podczas marszu i wspinania się, a jeszcze bardziej przy schodzeniu ze stromych zboczy i stoków, do hamowania i utrzymania równowagi. Ale równocześnie jest ona świetną i pewną podpórką do strzału oraz do oparcia ręki ze szkłami przy badaniu terenu lub lornetowaniu zwierza, a to szczególnie, gdy jesteśmy zmęczeni szybkim marszem pod górę i mamy w tym momencie przyśpieszony oddech, lub gdy mamy szkło o wielkim powiększeniu, które wymaga specjalnie spokojnej ręki.

Obecna dalekonośna broń z lunetą, o wielkiej szybkości pocisku, wymaga bardzo dokładnego mierzenia i strzały, gdyż inaczej dalekie strzały będą często powodem licznych postrzałów.



Polując przed pierwszą światową wojną na kozice w Styrii, widziałem pewnego rodzaju ulepszenie przy takiej tyczce, służącej jako podpórka do strzału: jest to rzemyk około 1 cm szeroki a 22 cm długi, przeciągnięty przez wywierconą dziurkę na 3—4 cm poniżej wierzchu tyczki. Powstaje pętla podobna do tej, jaką mają kijki do nart. Pętla ta absolutnie przy marszu nie zawadza. Do strzału wkłada się lewą rękę do pętli, obraca ją dłonią do góry, ujmując tyczkę silnie trzema palcami lewej ręki, zaś karabin opiera między palec wskazujący i duży. Oparcie jest silne i pewne, i umożliwia spokojny strzał na większy dystans przez każdą lunetę.

Drugim rodzajem są laski do siedzenia na polowaniu z naganką. Modeli tych lasek jest bardzo dużo. Tu może każdy myśliwy używać takiej, jaką uważa za najpraktyczniejszą, a raczej do jakiej się przyzwyczai. Ważną rzeczą jest jej okucie, które musi być dosyć długie i ostro zakończone, o dość du-



żym kółku, a to w tym celu, aby laska, gdy myśliwy wstanie, sama, bez trzymania, nadal pozostała w ziemi, a nie opadła pod wpływem własnego ciężaru, płosząc zwierzynę. Laski te są dwojakiego rodzaju. Jedne raczej wysokie, praktyczne dla tych myśliwych, którzy wstają do każdego strzału i niskie dla tych, którzy siedzą podczas całego miotu i strzelają siedząco. Że laska myśliwska ma niezaprzeczenie wielkie zalety, przede wszystkim dla starszych wiekiem, nie ulega żadnej wątpliwości.



Myśliwy, siedząc na lasce, nie męczy się długim staniem, nie przestępuje z nogi na nogę, zachowuje się zatem znacznie spokojniej, aniżeli stojąc. Zwierzyna pędzona z miotu na linię myśliwych nie zauważa najczęściej nieruchomo siedzącego strzelca i wychodzi spokojnie na linię.



MACIEJ RUDZIŃSKI

Pierwszy odyniec

Należy wyrazić uznanie administracji lasów państwowych: odpowiedź na moje podanie nadeszła w przeciągu tygodnia. Niemniej ze zrozumiałą niecierpliwością rozcinałem małą szarą kopertę z czerwoną pieczątką Dyrekcji Lasów Państwowych w Tarnowie. Wiadomości były pomyślne: pozwolenie na wczasy myśliwskie w Nadleśnictwie Kamień z odstrzałem 12 dzików. 12 dzików! — to liczba, która w każdym razie pobudza wyobraźnię myśliwską. Zaczęły się projekty, zapobiegliwe zakupy, narady, co brać, a co zostawić, wreszcie postukiwanie w szybki barometrów. Postukiwanie, które stawało się coraz częstsze i bardziej rozpaczliwe, w miarę zbliżania się terminu wyjazdu.

7 grudnia o godzinie 7 rano nasza czwórka zebrała się na krakowskim dworcu, psiocząc na odwilż i kapuśniaczek. Co prawda za Krakowem błysnęły poza szybami wagonu płachty śniegu i przyniosła nam pociechę zamarznięta kałuża, po której ślizgali się wiejscy chłopcy. Ale kilkadziesiąt kilometrów dalej znów zaczęło siąpić i tak jechaliśmy przez cały dzień. Najpierw pociągiem, a z Rzeszowa autobusem, opowiadając anegdotki i oscylując między nadzieją, a czarną, jak naga rola, rozpaczą. W nadleśnictwie sytuacja się wyjaśniła lub raczej zaciemniła definitywnie: nie zastaliśmy śniegu, natomiast decyzję pana nadleśniczego, który skierował nas do bocznych rewirów, przepraszając bardzo uprzejmie, że „w głównym kompleksie lasów wyręby, ochrona zwierzyny" itd.

Przydzielone nam tereny składały się z dwóch rewirów, oddzielonych od siebie polami „Pogorzałki" oraz kompleksu sosnowych młodników. Zagajnik ten był przecięty szeroką linią na cztery równe kwadraty, które przepędzaliśmy przez 4 dni z cierpliwą regularnością. Dzików nie spotkaliśmy. Natomiast nasz poczciwy Kiercek przeganiał z miotu do miotu stadko sarn i bezczelnego lisa, który znał widocznie rozporządzenie, że wolno nam strzelać tylko do dzików, gdyż defilował tam i na powrót, prowokując nas powłóczystą kitą. W końcu ta zabawa w ciuciubabkę znudziła się nam, sarnom i Kerckowi: postanowiliśmy wracać. I dopiero w ostatnim dniu polowania mieliśmy spotkanie z dzikami.

W pierwszym rannym pędzeniu Kiercek natknął się w młodniku na 3 dziki, które uderzyły na flankę i po dwóch strzałach mego sąsiada — za dalekich na breneki — znikły w Nadleśnictwie Kamień. Tam były już dla nas nieuchwytne. Patrzyliśmy z żalem na drągowinę, od której dzieliła nas szeroka, rozłożysta łąka, usiana rzadkimi dębami. Gdzie niegdzie zwisały na niej strzępy drutów kolczastych, resztki przedwojennego ogrodzenia. Przed wojną bowiem w Nadleśnictwie Kamień skupiało się jakieś 200 sztuk jeleni i na corocznych, dwudniowych polowaniach padało do 30 dzików. Przez lata okupacji i działań wojennych dochowało się do dzisiejszych czasów jedynie kilka łań i byków. Dzików podobno sporo, ale cóż, kiedy „nie dla psa kiełbasa". Trzeba więc było zrezygnować z tych ruszonych 3 dzików (jeden z nich był grubą sztuką) i nolens volens spróbować jeszcze szczęścia w Pogorzałce.

Próba się udała: jakiś samotny warchlak, nie wiadomo dlaczego odłączony od watahy — pociągnął nas za sobą w dwukilometrowym gonie przez olchowy zagajnik. W końcu zachrypnięty głos Kiercka utknął w jakimś klombie jeżyn. Podszedłem na 10 kroków i, choć wlazłem na wysoki pniaczek, nie mogłem złapać na muszkę ruchliwej sylwetki warchlaka. Wreszcie przyparty widać przez pieska, wyskoczył na drugą stronę, gdzie go mój sąsiad zrulował bliskim strzałem. I tak skończyło się polowanie, na które jechaliśmy z taką nadzieją. Zamiast obiecanych dwunastu dzików, eskortowaliśmy na drugi dzień trzydziestokilowego warchlaka. Mimo to budził on w autobusie wielki podziw i zainteresowanie pasażerów. W Rzeszowie pożegnaliśmy dwóch towarzyszy i razem z kolegą, korzystając z ferii akademickich, pojechaliśmy do mego kuzyna, który dzierżawi pod Sanokiem tereny łowieckie.

Zaczęły się znów wczesne wstawania poranne i dalekie wyprawy. Do rewirów dziczych mieliśmy 2 godziny jazdy saniami przez góry i wąwozy, przez dziką, bezludną okolicę, w której do niedawna gospodarowały bandy UPA. W ośnieżonych jarach drzemią jakieś cerkiewki i rozwalone ukraińskie chałupy. Na wypalonych, czarnych kikutach grusz dyndają na wietrze lemiesze lub zawieszone łuski armatnie: prymitywne dzwony alarmowe z czasów ostatnich walk. Przypominają się Sienkiewiczowskie „dzikie pola" z „Ogniem i Mieczem". Niedawno w jakiejś ukraińskiej piwnicy mój kuzyn znalazł szkielet dużego odyńca: w poszukiwaniu ziemniaków musiał się tam jakoś zaplątać i zamrzeć. Pola leżą puste, uprawiane od lat jedynie przez dziki. Korzystają na tym myszy i lisy: można ich zobaczyć po kilka sztuk, myszkujących na polach i połoninach. Wyżej za tymi polami i połoninami ciągną się lasy, aż po samą granicę. Tutaj zaczyna się królestwo grubego zwierza. Nocne, pobuchtowane dzicze ślady krzyżują się nieraz z prostym, zdecydowanym tropem wilczym. Czasem przetnie drogę i pokluczy lasem trop żbika.

I właśnie ta rozmaitość zwierzyny i możliwość spotkań stanowią główną atrakcję tamtejszych polowań. Bo teren jest bardzo trudny. Rewiry ciągną się długimi kiszkami, nie pociętymi na oddziały czy linie. Czasem nurkują gdzieś w jakimś głębokim jarze, to znów ku rozpaczy woźnicy i koni pną się stromą skarpą.

W tych warunkach tropienie jest sprawą mocno problematyczną, tym bardziej, że niepłoszone dziki prawie cały dzień są „na chodzie". Czasem trzeba czekać godzinę, zanim usłyszy się ze swego stanowiska głosy naganki czy gonu. Takie długie mioty-podumajki nie dłużą się bynajmniej. Przypominają się opowiadania o wilkach, które latem porywały owce i prosiaki lub o żbiku, którego mój kuzyn spudłował na kilka kroków, nie bardzo wiedząc w pierwszej chwili do czego strzela. Dziki mają tu być specjalnie zadziorne i utuczone przez lata wojny. W bieżącym sezonie było kilka wypadków pokaleczenia myśliwych przez ranne odyńce.

Niestety, przez cztery pierwsze dni mamy na rozkładzie jedynie drobną zwierzynę: po kilkanaście zajęcy i imponującą co prawda ilość 11 lisów. Z dzikami mam dwa spotkania, ale obydwa nieszczęśliwe. Kiedyś stoję na znanym m. stanowisku, gdyż poprzedniego dnia udało mi się na nim strzelić jarząbka. Naganka już ruszyła, piesek zagłosił, ale cienko i szybko — pewnie zając, — poza tym naokoło cicho i biało. I nagle coś przemyka się głęboką śnieżną bruzdą: lisiura. Długa kita i nos stanowią jedną rudą linię. Ale sznuruje daleko: 80, może trochę mniej kroków Opieram sztucer o drzewko i zakładając cztery metry, strzelam, może nawróci? Po strzale lis, rzeczywiście, zawraca i wężowym ruchem, zabawnie wlokąc kitę w śniegu, susuje prościutko na mnie. Dopuszczam go na kilkanaście kroków i ruluję łatwym strzałem. Gdy naganka dochodzi, wołam, aby pozbierali lisa, a sam przesuwam się dalej wzdłuż flanki. Wtem wysuwa się w moją stronę czarny, bezszelestny cień: dzik. Strzelba leci w puszysty śnieg. Zrywam mannlicher i odbezpieczam w momencie, gdy dzik przystaje w wąziutkim dukcie. Mam go już na muszce, gdy słyszę w prostej linii za dzikiem parskanie koni. Chwila wahania i dzik znika w gęstwinie. Pocieszam się, że był to nie wielki przelatek, a uspakajam się zupełnie, gdy okazuje się, że sanie stały rzeczywiście tuż za zakrętem drogi.

Drugie spotkanie równie niefortunnie się kończy. Bierzemy krótki i stosunkowo rzadki miot leszczyn zmieszanych z jodłą. Ledwie naganka ruszyła, słyszę charakterystyczny szum wstających dzików. Chwila ciszy — pewnie nasłuchują — i cała wataha rusza zdecydowaną falangą w moją stronę. Teraz je już widzę: długi sznurek czarnych, wyciętych jak gdyby z papieru sylwetek. Idą wolno, z zastanowieniem, prosto na mego sąsiada z prawej. Czarne pługi worane po pas w śnieg. Już są blisko, może 20 kroków, a mój sąsiad nic, nie strzela, czeka. Takie oczekiwane napina nerwy do niemożliwości: wreszcie odprężenie. Dwa strzały nerwowo szybko po sobie rzucone. Cała wataha nawraca i teraz pełnymi susami defiluje mi na 100 kroków. Mogę je od biedy strzelać pomiędzy ośnieżonymi sztachetami leszczyny. Ale wiem, że idą na mego kuzyna i, rzeczywiście, po chwili padają znów dwa strzały, robi się jeszcze większy szum, zamieszanie, które milknie za jarem w następnym miocie. Szybkie sprawdzenie, że nie ma farby na strzałach i biegniemy do sanek. Nie ma czasu na narzekanie i tłumaczenie pudeł.

Objeżdżamy jar i górę, obcinając miot, gdzie zniknęły nam dziki. O dziwo! nie ma śladów wyjściowych. Nagankę zostawiamy na drodze, sami zabiegamy od boku, wracając na trop wchodowy. Nagle słyszę po lewej stronie jak całe stado rusza się niespokojnie: znany szum i chwila ciszy. Zastanawiają się widać gdzie uderzyć. I znów szszszs... i po chwili znów stop. Zostaję na flance, mój kuzyn zbiega do jaru. Znów zaczyna się oczekiwanie. Mija 5, 10 minut — nic, ani dzików, ani strzałów. Po chwili kuzyn wraca z nosem na kwintę. Okazuje się, że zanim dobiegł do cypla, dziki już przesadziły jar i wróciły w stronę pierwszego miotu. Gajowy biegł nieco przodem i cały jest jeszcze blady z wrażenia: „23 sztuki, ale taaaakie“ — pokazuje na wysokość piersi. Trochę może w tym przesady, ale że sztuki duże, to widać po tropach. Stare lochy i kilka zapewne odyńców, które zbiły się na czas huczki w ogromne stado. Gonimy za nimi saniami, wydaje się, że swąd jest coraz bliższy, a odchody dymią zupełnie świeżo. Ściemnia się jednak i trzeba wracać na dół.

Wreszcie ostatnie spotkanie. Tym razem szczęśliwie. Jest przedostatni dzień polowań, południe. Na rozkładzie, jak zwykle, same zające i jeden lis. Jesteśmy już trochę zmęczeni tym daremnym uganianiem się za dzikami i gotowi uwierzyć, że posiadają one jakieś czarodziejskie moce, coś w rodzaju radaru, który pozwala im unikać w ten sposób myśliwych i kul. Nagle całe towarzystwo się ożywia. Jakiś odyniec uderzył na flankę i znikł w sąsiednim miocie. Według relacji naganiacza jest to ten sławny odyniec miejscowy: „Chaskiel“. Obcinamy miot, ja z jednej, kuzyn z drugiej strony. Moja linia czysta. Zbliżam się do krytycznego zakrętu, modląc się, aby kuzyn przyniósł dobre wieści. Wychodzi właśnie na linię ze spuszczoną głową, badając coś na śniegu z napięciem.

„No co, wyszedł“? — pytam niespokojnie.

— „Nie, dzięki Bogu nie wyszedł. Siedzi“.

Obstawiamy flanki, biorąc z kuzynem trop wejściowy między siebie. Stanowisko na takim tropie to sekundy niebywałego napręźenia. Nasze nerwy i zmysły włączają się w jakiś wspólny kontakt z przeżywaniem sąsiadów. Naganka, psy, myśliwi, a nawet gałęzie i miękkie obsuwanie się okiści — wiążą się we wspólny, żywy zespół. Oto pierwsze pohukiwania naganki, łączące się z okiścią, sypiącą się za kołnierz. Nagle prąd przebiega przez cały miot: strzał, suchy trzask na prawej flance. Naganka się ożywia, serce mi bije niespokojnie: może „Chaskiel“. Ale nie, to zawcześnie. Chyba znów lis. I znów nowy dreszcz: ajajajaj — jajaj. Wysokie niecierpliwe ujadanie. Idzie gon szybko, za szybko jak na dzika, przesuwając się ukosem na skrzydło. Znów strzał zdmuchuje smugę gonu. Chwila ciszy, potem nowa wrzawa. Teraz nie ma żadnych wątpliwości ani zastrzeżeń. Począwszy od naganki i piesków, kończąc na najdalszym myśliwym, wszyscy wiedzą: to ruszył on — Chaskiel.

Wrzask naganki staje się coraz namiętniejszy, bliższy, bardziej konkretny: „O! idzie, idzie. Trzymaj! nie puść do tyłu“. Cały miot żyje. Obwód elektryczny zamknięty, napięcie nie do wytrzymania. Nawoływania obsuwają się wzdłuż linii, w dół po pochyłości w stronę flankujących kotliną sąsiadów. W wyobraźni jak w aparacie telewizyjnym zapalają się światełka, zsynschronizowane z wrzaskiem: od lewej ku prawej, coraz dalej i beznadziejniej. Strzał! Psiakrew — błyska samolubna krótka myśl. Ale nie; jeszcze jeden strzał już znacznie bliżej, i jeszcze dwa krótkie, niecierpliwie rzucone.

„Uwaga na linię, na linię“! — jakiś sąsiad nie wytrzymał i posyła ostrzeżenie. Niepotrzebnie: już słyszę łamanie i znany furkot w krzakach. Już czekam ze strzałem na linii. Idzie na skos od prawego boku. Coraz bliżej i głośniej. Lewym okiem znad łoża łapię jakieś zachwianie gałęzi i od razu wysuwa się szary od nabitego śniegu cień. Zjeżdża po skarpie na czterometrową linię i w momencie, gdy nasuwa mi się na błysk muszki, ciągnę za spust. Efekt piorunujący: szare cielsko utyka na gwiździe i jak wykolejony pług worywuje się pod jodełkę. Leży na kulawy sztych o jakieś 30 kroków ode mnie, widzę najwyraźniej błysk ślepi i szabel, które kłapią bezsilnie. Repetuję i

(Dokończenie obok)

JÓZEF GIEYSZTOR

Polowanie z puchaczem

Nadchodząca wiosna jest czasem, kiedy powinna być podjęta zorganizowana walka ze szkodnymi drapieżnikami skrzydlatymi, jak gołębiarz, krogulec, a przede wszystkim wrony siwe i sroki. Sprzyja temu zarówno okres przelotu większości ptaków drapieżnych i czas lęgowy tych ptaków u nas, jak czas wolny po zakończeniu sezonu polowań zbiorowych. Czas ten mogą i powinni poświęcić myśliwi właśnie zwolnieniu łowisk swoich od nadmiaru szkodników skrzydlatych.

Środkiem walki z tymi szkodnikami powinna być dla prawego myśliwego głównie — jeżeli nie jedynie — broń myśliwska. Przy obecnej drożyźnie amunicji jest to środek kosztowny, ale jedynie godny myśliwego. Strzelać należy nie tylko przypadkowo spotkane ptaki, ale urządzać specjalne wyprawy na zauważone miejsca gniazdowań, strzelając wówczas zarówno do zrywających się ptaków, jak i do gniazd, aby zniszczyć znajdujące się w nich jaja czy pisklęta.

Aby tym monotonnym, acz koniecznym zabiegom strzeleckim nadać więcej cech myśliwskich, radzę kolegom wznowić, zaniedbane dziś, polowanie na drapieżniki z puchaczem. Przed wojną ostatnią były one u nas dosyć rozpowszechnione, a gorącym propagatorem ich, ze względu na osiągnięte skuteczne wyniki, był redaktor J. Sztolcman, znakomity ornitolog i myśliwy. W podręczniku swym pt. „Łowiectwo" z 1938 r. pisze on dosłownie: „Ten rodzaj polowania daje doskonałe rezultaty i dlatego w każdym porządnym gospodarstwie łowieckim powinien znajdować się puchacz" .

Polowanie z puchaczem oparte jest na nienawiści, którą mają drapieżniki dzienne do sów, a zwłaszcza do puchacza. Myśliwi wyzyskują to i osadzając oswojonego puchacza na berle, tj. poprzecznej grządce, umocowanej na wysokim na 2 metry słupku, czatują na zlatujące się i atakujące puchacza drapieżniki w specjalnie zbudowanej budce, którą może zastąpić sterta lub stóg siana, względnie dół, przykryty dachem z gałęzi.

Szczegóły polowania z puchaczem i postępowania, włącznie z utrzymaniem, żywieniem i opieką nad puchaczem, znajdzie czytelnik w wyczerpującym artykule Wł. Słonczyńskiego pt. „Polowanie z puchaczem", zamieszczonym w numerach 5 i 6 Łowca Polskiego z 1900 r., oraz w wymienionym podręczniku J. Sztolcmana „Łowiectwo".

Tu chcę zwrócić uwagę, że wobec trudności zdobycia dziś oswojonego puchacza oraz kłopotów z jego utrzymaniem, szeroko praktykowane jest zagranicą używanie do tego rodzaju polowań puchacza wypchanego, najlepiej z głową ruchomą ,mogącą obracać się na strony przy pomocy sznurka, pozostającego w ręku ukrytego myśliwego. Jak dobre wyniki daje ten sposób polowania, świadczy o tym artykuł pt. „Une belle matinée au grand duc" — S. Marty, zamieszczony w „La chasse francaise" nr. 43/44 z roku ubiegłego. W ciągu kilku godzin porannych, spędzonych przy puchaczu wypchanym, ubiło dwóch myśliwych z budki dwie kanie*), gołębiarza i kilka srok.

Jak dalece popularne jest polowanie z puchaczem na zachodzie, stwierdzają, obok podanego zdjęcia z „La chasse française", aryginalne zdjęcia tejże treści w amerykańskim miesięczniku „Field and Stream" z marca 1949 r. oraz w piśmie czechosłowackim „Straż Myslivosti" z tegoż roku.

*) W Polsce kanie są w tym czasie pod ochroną.



(dokończenie ze str. 26)

walę kulę na łopatkę. Odyniec się zrywa, zjeżdża w pięciometrowy jar, winduje się i niknie w zagajniku. Ale już biegną za nim flankujący myśliwi i w końcu, gdy kładzie się jakieś 100 m za mną na pochyłej haliźnie, posyłają mu jeszcze dwie kule.

Naganka już, oczywiście, wie, że ostatni akt się skończył, więc biegnie na przełaj przez miot do linii. Jeden z nich, idąc za tropem odyńca, wypada na mnie i rzuca mi się w wielkiej pasji myśliwskiej na szyję. Jest prawie tak samo przejęty jak ja. Przedzieram się z nim przez krzaki, drapię ręce i policzek, obrywam dwa guziki, wreszcie dochodzę do halizny, na której stoją już myśliwi. Odyniec skończył. Przede wszystkim sprawdzamy kule: dzięki Bogu okazuje się, że ma tylko dwie od prawej, mojej strony, potem ostrożnie holujemy go na dół, robimy pamiątkowe zdjęcia i ruszamy dalej. To znaczy ruszają inni, bo co dla mnie dzisiaj jakiś zając czy nawet lis?

Siadłem na pniaku i patrzę na przedpotopowe, garbate cielsko, zwalone w śnieg, na czarny, ciężki łeb o srebrnych piórach i białym błysku szabli. Siedzę i patrzę. Bo chwila ta ma starczyć na całe lata. Wynagrodzić wszystkie trudy i rozczarowania.

Potem w domu go obielono i zważono. Była jeszcze chwila emocji: ile cm kłów wyłuska się z masywnych szczęk. Okazało się, że w stosunku do wagi (po wypatroszeniu 190 kg) nie tak wiele: 22 centymetry długości.

Sprawozdanie z 1949 roku Łowczego Powiatowego na powiat Nysa

Związek liczył z końcem 1948 roku 167 członków, zaś z końcem 1949 r. — 200 członków. Majątek gotówkowy w PBR, złożony na koncie 188, wynosi przeszło 400.000 zł. Suma ta pochodzi stąd, że liczono się z odbudową domu związkowego i na ten cel gromadzono fundusze. Obecnie, gdy z powodu nieotrzymania przyrzeczonego kredytu sprawa ta stała się nieaktualna, posiadane sumy będą zużyte na cele z łowiectwem i hodowlą związane. Posiedzeń rady było w 1949 roku 16 oraz 1 nadzwyczajne zgromadzenie. Wydano 7 komunikatów. Urządzono w karnawale raut oraz 1 majówkę i 2 zabawy ze strzelaniem do rzutków. Przeprowadzono odgruzowanie domu przy ul. Bankowej 22. Wydano 135 świadectw egzaminów łowieckich. Polowania wszelkie odbywały się na podstawie zatwierdzonych planów odstrzału. Sprowadzono dla odświeżenia krwi 4 komplety zajęcy. Zorganizowano sześć kół myśliwych, które obejmują cały powiat. Rozdano ładunki jako premje za zwalczanie drapieżników. Nagród za wykrywanie przestępstw łowieckich nie było, gdyż nie wykryto niczego. Zaprowadzono rachunkowość zgodną z kasowymi przepisami buchalteryjnymi. W szkołach nyskich odbyły się referaty z wiosną na temat ochrony zwierzyny. W roku 1949 nie zachodziła potrzeba stosowania kar, grzywien, zawieszeń w rozmiarze lat poprzednich. Dla powiatów Grodków, Niemodlin, Prudnik przeprowadzono rejestrację psów myśliwskich, w której wyniku na 30 przedstawionych psów 6 uzyskało wpis do wstępnych ksiąg rodowodowych.

Łowczy powiatowy dokonał kontroli polowań we wszystkich kołach łowieckich i stwierdził na ogół stan zadowalniający.

JAN KOŚCIESZA

O zaszczutym wilku

Historia o wilku, którą opowiem, tym się różnić będzie od innych, na wilcze tematy opowiadanych, że nie jest ani ad hoc skomponowanym podkolorowanym, po prostu zełganym zdarzeniem. Historia jest prawdziwa.

Gdzie się rozegrała i kiedy? Dawno i tam, gdzie były wielkie, ciche puszcze, nie przecinane nasypem kolejowym, szosą ani nawet piaszczystym traktem. Wreszcie, czy nie wszystko jedno, gdzie i kiedy? Dosyć, że była.

Główny uczestnik tego wyczynu nie żyje; zginął w niemieckich łapach, a inni... — ot, rozpełzli się po świecie.

Zima tamtego dawnego roku ostra była. Śniegi po lasach leżały takie, że gajusy tylko na „łyżach" obejść mogli swoje kwartały. Kilku wioskom, zagubionym wśród tych cichych lasów, wilki mocno dawały się we znaki. Rozzuchwalone podchodziły nocami pod osiedla, podkopywały się pod chlewy i hłunie, dusiły psy wiejskie, nocne marki, o ile te — zbyt późno zwietrzywszy wilczy duch — nie zdążyły zaszyć się w jakim świrnie pod siano. Nie pomagała ani podrzucona zatruta padlina, ani żelaza. Oklepce były zapewne diabła warte, a strychnina zwietrzała. Często zjadały do czysta końską łopatkę i wędrowały dalej, wesoło zamiatając za sobą ogonami. Różne Ihnaty i Dorosteje kilometrami sunęli po śladach w nadziei, że — ot, leży może gdzieś zdechnięty pod wykrotem.

Bardzo mądrze powiedział gdzieś ktoś, że niezbędnym warunkiem dodatnich rezultatów polowania na wilki jest większy spryt myśliwych niżeli wilków. A to się nie zawsze zdarza.

Tamte wilczyska doskonale zdawały sobie sprawę ze swej przewagi. Dawały temu wyraz bardzo demonstracyjnie, załatwiając swą fizjologiczną, tak zwaną „małą potrzebę", na kupce ogryzionych do czysta „zatrutych" końskich gnatów. Trudno o jaskrawszy wyraz pogardy dla nieudolnego przeciwnika.

Zebrała się wtedy grupka tamecznych myśliwych i postanowili: znaleźć odpowiednią, łatwą do otropienia, partię kniei, podkarmiać w danym miejscu wilki padliną i zapolować z flądrami. Ten pierwszy punkt nie był łatwy do wykonania; przyzna to każdy, kto znał tamtejsze puszcze. Ale wreszcie znaleźli. Była to spora, kilkudziesięcio-hektarowa kępa starego lasu, wysunięta w obszar bagnistego mszaru, wyżej nieco położona i suchsza, tak zwany przez tamtejszych ludzi „ostrowiec", a w tym wypadku „Okunin Ostrów". Łączył się ten ostrowiec z litą puszczą długim, wąskim, zalesionym jęzorem, nie był więc wyspą a przylądkiem.

Kto z czytelników pamięta ze sztubackich czasów mapę południowego zakończenia Indo-Chin, ten języczek, gdzie Anglicy umocnili Singapoore, ten już doskonale sobie wyobrazi topografię tamtego terenu.

Karmiono więc wilki obficie smaczną padliną i pewnego dnia, po wielkiej, strategicznej naradzie, założono sznury z czerwonymi szmatkami. Odrutowali kępę tymi sznurami dokładnie i przewidująco. Miejscami nawet były podwójne fladry: niższe i nieco wyższe. Nie zapomniano nawet spryskać je naftą, jako, że zapach jej nocą odstrasza zwierza i zatrzymuje w ostępie. Myśliwi weszli do osznurowanej kępy owym zalesionym jęzorem, zostawili przy jego ujściu do kępy dwóch towarzyszy i dano sygnał gajusom.

Dalszy ciąg tego myśliwskiego epizodu musimy pozostawić na boku. Jest on jakby prologiem do właściwej historii o zaduszonym wilku; spełnić miał, do pewnego stopnia, rolę chóru w greckiej tragedii.

Pośród uczestników tamtej, wyżej wspomnianej, strategicznej narady, był jeden, który nie chciał brać udziału w strzelaninie na kępie. Służył im światłą swoją radą, był tym, który wynalazł wymienioną kępę, złączoną z puszczą lesistym jęzorem, ale postanowił w tych z wilkami zapasach walczyć indywidualnie. Nie lubił polowań z naganką i niedawania pewnych uczciwych szans zwycięstwa w walce ze zwierzem. Drzemały w nim jakieś zadawnione dziedzictwa po pra-pradziadach, chodzących z rohatyną na grubego zwierza, a nie ze sztucerem.

Lubił polować z chartami. Zwierzyna, — mawiał, — ma szanse, że drapnie, a ja snadnie mogę kark złamać, kiedy się koń podemną w pogoni potknie. Jego sfora składała się z trzech psów zaledwie: dwa ogromne, garbato-nose, kudłate charciska, progenitura po sprowadzonych kiedyś z południowej Rosji, tak zwanych wołkodawach, i lżejsza, angielska charcica. Polował z nimi, jak dotąd, przeważnie na lisy; lekkostopego zająca uważał za niezbyt godnego dla jego psów — towarzyszy przeciwnika. Lis jest mniej ścigły od zająca, co pasowało do jego przyciężkich kudłaczy, ale za to cięty i mędrszy znacznie od głupich, przeważnie, chartów. Uważał, że ten typ polowania bardziej jest bliski pojedynkowego turnieju, niż nagankowa mordownia.

Dla tych więc przestarzałych i wyszłych już z użycia przesądów postanowił kręcić się ze swą sforą po polanie, między kępą a ścianą lasku. Pan Eliasz — bo tak biblijnie nazywał się bohater mojej opowieści — nie wierzył przy tym, żeby się jeden, drugi wilczur nie wymknął spoza osznurowanej osoczy. Znał chytrość i spryt wilka, a zwłaszcza samotnie chodzącej suki wadery. Wreszcie i na fladry często-gęsto spadnie z gałęzi czapa śniegu i przykryje równie osłonę, jak i czerwone szmatki. Konia miał silnego, zwrotnego, zaprawionego w częstych jego gonitwach za psami.

I nie zawiodły pana Eliasza logiczne jego dedukcje. Wnet po pierwszych strzałach wyskoczyło na polanę duże wilczysko. Spuścił ze smyczy psy i, zapadając w głębokim śniegu, starał się przeciąć wilkowi odwrót do lasu. Teren był wyjątkowo dla psów wygodny. Po parodniowej odwilży, chwycił ostry mróz, utworzyła się na powierzchni śniegu mocna skorupa, utrzymująca często na powierzchni charty, a łamiąca się pod ciężkim wilczurem. Psy prędko osaczyły wilka. Zdawał on sobie widocznie sprawę, że przed ścigłonogim chartem nie umknie, zwłaszcza na cięższym dla niego terenie. Zaufał swej sile i zębom. Toteż nie była to gonitwa, a raczej seria szalonych, szybkich skoków. Ogromna przewaga wilka od razu była widoczna. Najbardziej agresywna z tej trójki — suka, pierwsza odpadła od walki. Chwycona ostrymi kielcami gdzieś przy nasadzie karku, leżała na śniegu, krwawiąc obficie. Ale dwa dzielne kudłacze atakowały nieustannie. Lżejsze i zwrotniejsze, unikały szczęśliwie wilczych chwytów. Jeden wprawdzie krwawił, ale ukąszenie musiało być powierzchowne, bo widoczne było, że nie osłabł.

Pan Eliasz niewiele zdołał na razie psom dopomóc. Kręcił się, jak mógł najbliżej, na swoim podjezdku, ale odskoki wilka i psów były tak szybkie i nagłe, że wszelkie usiłowania użycia długiego harapa, okazywały się niemożliwe. I koń zapadał się w śnieg zbyt głęboko, podczas gdy walcząca trójca utrzymywała się na powierzchni. Toute proportion gardée, przypominało to poniekąd walkę kogutów bojowych.

Wreszcie jednemu z kudłaczy udał się silny chwyt tuż za uchem wilczura, unieruchomiając go na moment. Ułatwiło to doskok drugiemu. Na krótką chwilę szczepiona trójka zakotłowała się na miejscu. Pan Eliasz zeskoczył z konia i ciężkim, okutym trzonem rękojeści harapa, uderzył po kości nosowej wilka, co go musiało nieco zamroczyć.

A wtedy szybkie pchnięcie kordelasem pod łopatkę zakończyło walkę

Jeden z kudłaczy silnie krwawił, oba były tak zmordowane, że trzeba je było położyć na saniach. Ale wylizały się i żyły jeszcze przez lata.

W kępie leśnej padły cztery wilki. Za jednym postrzelonym poszli krwawym śladem leśniczy na „łyżach". Zdobyta przez pana Eliasza sztuka była piękną płową wilczycą. Pomiędzy strzelonymi w kępie był okaz ciemno-brązowego, starego baslora.

*

Dwóch z nas tylko mogło być świadkami tej prawdziwie homerycznej walki. Byliśmy najbliżej sznurów z tej kępy i, zaiste, więcej nas interesował panaeliaszowy turniej niźli zabite przez nas sztuki.

EUSTACHY DZIEDUSZYCKI

Gniazdo sokoła wędrownego

Członkowie ekipy filmowej, pozostającej pod kierownictwem inż. Włodzimierza Puchalskiego. a wykonującej prace na jeziorze Mamry na Mazurach, byli w tym roku świadkami ciekawego i dość zagadkowego wypadku zniszczenia gniazda sokoła wędrownego przez jakiegoś rabusia.

Jezioro Mamry posiada wiele malowniczych wysp tworzących zaciszne, urocze zakątki. Wyspy te kryją w swych gąszczach niezliczone gniazda ptaków wszelkiego gatunku. Poza tym dają one schronienie sarnom, borsukom, zającom i innym ssakom. Na jednej z nich znajduje się, ciesząca się ogólnym zainteresowaniem. kolonia gniazd kormoranów i czepli, na innej gnieżdżą się rybitwy.

Przemierzając tę wyspę w poszukiwaniu gniazd, ekipa filmowa inż. Puchalskiego znalazła. między innymi, gniazdo sokoła wędrownego. Piękny i dość rzadki ten ptak zbudował je na wysokie lipie, tuż pod szczytem drzewa. Na dole młode drzewka, krzaki i pokrzywy stworzyły trudny do przebycia gąszcz, tak, że całość robiła racze wrażenie ostępu w jakiejś dziewiczej puszczy, niż parku na wyspie. Panowała tu cisza, nie było słychać śpiewu ptaków. które pewnie wolały nie umieszczać swych gniazd w sąsiedztwie groźnego drapieżnika. Ciszę przerywało tylko kwilenie trzech młodych sokołów, gdy w pobliżu pojawił się stary ze zdobyczą w szponach.

Czarnogłowy, białolicy sokół wędrowny, to jeden z najgroźniejszych naszych drapieżników. Krwiożerczy, śmiały i rycerski zarazem, jest on postrachem dla wielu ptaków i ssaków. Dogania w locie nawet śmigłe kaczki. Atakuje skutecznie i jednym potężnym uderzeniem ciała potrafi złamać skrzydło kilkakrotnie od niego większej dzikiej gęsi. Jest przy tym jednak rycerski. Nie nęka i nie gnębi swej ofiary, tak, jak to robi wiele innych drapieżników. Atakuje śmiało. a gdy atak nie uda się i ofiara ujdzie jego szponom i morderczemu dziobowi, pozostawia ją w spokoju.

Puchalski odkładał filmowanie sokołów, mając na względzie ważniejsze prace na znajdującej się w niewielkiej stąd odległości „Wyspie kormoranów". Za każdym razem przepływając na tę wyspę, widzieliśmy z daleka pięknego sokoła, siedzącego na wysuniętej daleko nad wodą gałęzi i strzegącego swych młodych.

W końcu prace na „Wyspie kormoranów posunęły się o tyle, że można było kilka dni poświęcić sokołom. Przygotowawszy niezbędny materiał na budowę ukrytego stanowiska operatora, ekipa wyruszyła na wyspę sokoła. Panowała tam złowróżbna cisza. Nie było słychać kwilenia sokołów, ani stary ptak nie zerwał się ze swej gałęzi za naszym przybyciem. Sokoły nie mogły jeszcze opuścić gniazda były na to za młode. Cóż się stało? Po kilkudziesięciometrowym przedzieraniu się przez gąszcza, stanęliśmy pod gniazdem i wtedy zrozumieliśmy powód ciszy. Tuż przy pniu wiekowej lipy, na której znajdowało się gniazdo nieszczęsnych sokołów wędrownych, leżały trzy krwawe szczątki młodych. Właściwie trudno było dopatrzyć się w tym kształtów ptaka. Kupka pisklęcego puchu, troszkę jeszcze niezupełnie wykształconych piór ze skrzydeł, ślady ledwie zakrzepłej krwi, to było wszystko, co zostawił rabuś. Gniazdo przedstawiało też opłakany widok. Sterczały z niego chaotycznie poroztrącane gałązki. Całość przekrzywiona była nienaturalnie i zdawało się, że lada chwila runie na ziemię.

Długo nie mogliśmy wymówić słowa, wpatrzeni w tę tragedię sokolego gniazda. Zaczęliśmy w końcu zastanawiać się, kto targnął się na młode tak groźnego drapieżnika, jakim jest sokół wędrowny. Musiał to być jakiś ssak, gdyż zdobycz jego pożarta była tuż pod pniem lipy, na której gnieździł się sokół, — i to ssak, żerujący nocą. w dzień bowiem gospodarz obroniłby z pewnością młode. Ostatecznie doszliśmy do wniosku, że morderstwa tego dokonała kuna. Jedynie kuna jest tak krwiożercza, a drzewa nie są dla niej żadnymi przeszkodami, gdyż chodzi po nich lepiej prawie, niż po ziemi. Nie wykluczam jednak pomyłki w tym twierdzeniu.

Wypadek zniszczenia gniazda sokoła wędrownego był pierwszy, z jakim zetknąłem się. Może ktoś z naszych doświadczonych myśliwych znajdzie inne jego wytłumaczenie. Pragnąłbym również wiedzieć czy ktoś z Czytelników Łowca Polskiego słyszał o podobnym wydarzeniu, a jeżeli tak, to co je spowodowało?

Na „czarnej drodze"

Siódmego lutego 1950 r. leżała na śniegu. Nabrzmiała szyja ściśnięta była drutem. Przepiękne sarnie oczy zastygły w przerażeniu. Wpadła w sidła w lesie o stokilkadziesiąt metrów, na pochyłości góry. Widocznie zerwała śmiertelną pętlę, przebiegła po zboczu i padła nieżywa na tzw. „czarnej drodze", na pograniczu Szklarskiej Poręby Środkowej i Dolnej.

„Wiedzą sąsiedzi. jak kto siedzi"... Wiedzą też stali mieszkańcy Szklarskiej Poręby kto tu sidła i wnyki przeróżne zakłada po lesie i zagajnikach. Gdyby dobrze przepatrzeć zarośla — odkryto by tych pułapek z kilkadziesiąt. Taka przynajmniej jest o tych sprawach powszechna opinia. A jednak sprawca, czy sprawcy, wciąż polują...

Martwą sarenkę przewiózł sołtys do nadleśnictwa w Szklarskiej Porębie Górnej. Meldunek o znalezieniu uduszonej sarny złożono na posterunku M. O.

(r. i.)



Oto dzieło kłusownika

Z działalności oddziałowej rady kynologicznej w Chojnicach

Staraniem Oddziałowej Rady Kynologicznej w Chojnicach odbył się r. ub. pierwszy na Pomorzu kurs tresury wyżłów wszechstronnych oraz szkolenia menerów. Kurs odbył się w leśnictwie Bachorze pod kierownictwem leśniczego E. Raszkego. Korzystający z kursu młodzi menerzy wykazali dużo zamiłowania dla sprawy. Na podstawie egzaminu, przeprowadzonego przez dra Jana Łukowicza i kol. K. Zimnego, wręczono praktykantom leśnym: Ewaldowi Gierszewskiemu i Janowi Gielewskiemu świadectwa z ukończenia kursu z wynikiem dobrym. W ciągu szkolenia ułożono 6 wyżłów kontynentalnych, z których 4 psy odznaczyły się podczas końcowego egzaminu dobrymi wynikami.

Oddziałowa Rada Kynologiczna zamierza w bieżącym roku zorganizować drugi kurs tresury wyżłów wszechstronnych i szkolenia menerów. Ponadto staraniem chojnickiej Rady Oddziałowej zorganizowano w Nadleśnictwie Klosnowo pierwszy po wojnie konkurs wyżłów kontynentalnych.

Do konkursu zgłoszono 9 wyżłów doprowadzono 6. Starannie przygotowany konkurs stracił dużo na atrakcyjności z powodu niestawienia się, na skutek nieszczęśliwego wypadku, najlepszego wyżła Lorda, własność kol. A. Kryzy oraz pełnej dobrych zalet Azy, własność kol. T. Czuraja. Sędziowali: dr Jan Łukowicz — Chojnice, leśniczowie: St. Orlikowski — Plaskosz, J. Misiak— Komierowo, Z. Brinken — Mylof, E. Raszke — Bachorze.

I miejsce — II nagroda, suka Dona, wiek: 2 lata ,krótkowłosa, właściciel, treser i mener K. Zimny — Chojnice, wynik ogólny 167 punktów.

II miejsce—pies Aras szorstkowłosy, wiek: 14 miesięcy, wyróżniony za pracę leśną i wodną, właściciel, treser i mener E. Raszke — Bachorze, wynik ogólny: 138 punktów.

III miejsce — suka Nera, krótkowłosa, wiek: 16 miesięcy, wyróżniona za pracę leśną i wodną; właściciel, treser i mener W. Ostrzycki — Tuchola, wynik ogólny: 109 punktów.

Na dalszych miejscach: suka Diana, krótkowłosa, 2 lata, właściciel, treser i mener J. Morawiec.

Pies Kaprys, krótkowłosy, 7 lat, właściciel, treser i mener Fr. Kołodziński — Cołdanki.

Suka Donia, krótkowłosa, 3 lata, właściciel, treser i mener E. Własenko — Klosnowo.

Na zakończenie konkursu rozdano nagrody: kol. K. Zimny za pracę suki Dony otrzymał dyplom na II nagrodę oraz 2.000 zł; kol. E. Raszke za pracę psa Arasa 1.500 zł; kol. W. Ostrzycki za pracę suki Nery 1.000 zł. Po rozdaniu nagród dr Jan Łukowicz zachęcił do dalszej wytrwałej pracy w kierunku układania wyżła i wyraził nadzieję, że przyszły konkurs w Chojnicach zgromadzi większą ilość dobrze wyszkolonych wyżłów oraz wzbudzi większe zainteresowanie konkursem ze strony myśliwych.



Konkurs psów w Klosnowie

Z życia myśliwskiego w Głubczycach

Koło myśliwskie głubczyckie, założone w roku 1945, liczy obecnie 57 członków. Tereny myśliwskie, którymi rozporządza Koło, wynoszą około 50.000 ha. Na terenie powiatu niema innych zrzeszeń myśliwskich. Koło więc łączy wszystkich myśliwych powiatu. Skład członków Koła stanowią rolnicy, przeważnie małorolni, robotnicy, pracownicy państwowi, wojskowi oraz funkcjonariusze MO, Urzędu Bezpieczeństwa i nieliczni przedstawiciele wolnych zawodów, głównie lekarze.

Staraniem Koła odbudowano w ciągu 1948 r. zniszczony budynek, położony w malowniczej części parku miejskiego, kosztem około 1 miliona złotych. Dom Łowiecki położony jest na sztucznej wysepce, wokół której znajduje się staw zarybiony, który przyniósł już w pierwszym roku pewien dochód, przeznaczony na rozbudowę domu.

W sezonie 1949/1950 odbyto szereg udatnych polowań, a dochód z nich umożliwił Kołu spłacenie różnych należytości.

Specjalnie urządzone polowania na cele społeczne przysporzyły dochodu ze sprzedaży zajęcy na kwotę 250.000 zł, przekazanych przez Koło na cele ogólne dla różnych organizacji.

W Domu Łowieckim prowadzi zarząd Koła stołówkę dla członków swych oraz dla innych pracowników państwowych. Stołówka ta cieszy się liczną frekwencją sfer robotniczych i pracowników państwowych. W planach na rok 1950 postanowiono zbudowanie kręgielni i kortu tenisowego.

Dzięki racjonalnej gospodarce łowieckiej zwierzostan na terenach Koło jest imponujący. Szczegółowe dane o wynikach polowań będą przesłane po ukończeniu obliczeń z całego sezonu.

B. Strzelecki
łowczy powiatowy PZŁ

Dwa polowania na Kujawach na cele społeczne

Przy pięknej, suchej pogodzie odbyło się w dn. 15 XII 1949 r. polowanie w kotły na terenach pod Kruszwicą — Grodztwo, Bachorz i Tarnowo, doskonale zorganizowane przez podłowczego Kujawskiego Koła Łowieckiego, kol. Edmunda Kolańczyka. Przy udziale 14 kolegów myśliwych i współudziale 50 osób naganki upolowano 139 zajęcy. Po potrąceniu najważniejszych opłat i kosztów polowania ofiarowano pozostałą kwotę ze sprzedaży zajęcy w wysokości 12 tysięcy złotych na urządzenie świetlicy dla gromady Grodztwo.

W kilka dni po powyższym zorganizowała dwudniowe polowanie na szaraki Oddziałowa Rada Związku Kynologicznego w Polsce z Inowrocławia na swoich terenach łowieckich Rożniaty, Kobylniki, Żerniki i Tupadły, położonych między Inowrocławiem a Kruszwicą.

W pierwszym dniu przy mroźnej pogodzie zastrzelono 152 zajęcy. W drugim dniu nie dopisała pogoda, polowano w czasie zawiei śnieżnej, co obniżyło w dużym stopniu rozkład, który po ostatnim kotle wynosił 82 zajęcy. Razem więc upolowano w obu dniach 234 szaraki. Czysty zysk ze sprzedaży zajęcy, po potrąceniu kosztów polowania, zasilił poważnie kasę Ośrodka Hodowlanego Psa Myśliwskiego w Rożniatach, wybijającego się już obecnie na czołowe miejsce w Polsce.

Mieczysław Skonieczny

Z literatury ŁOWIECKIEJ

Pomorski Biuletyn Łowiecki nr 10. — Wydawnictwo Pomorskiej Rady Wojewódzkiej w Toruniu, grudzień 1949 r., stron 46.

Grudniowy zeszyt Biuletynu Pomorskiego wyróżnia się z pomiędzy dotychczasowych zeszytów tego pisma cechą szczególną: nie posiada pracy redaktora inż. Goetza. Niestrudzony ten, a utalentowany pisarz łowiecki, zaopatrywał bowiem w cenne przyczynki fachowe każdy numer Biuletynu. Ale zeszyt ostatni nie ustępuje poprzednim. Inż. Ludwik Plater, zasłużony przedwojenny hodowca, daje „Ogólne zasady odstrzału hodowlanego wśród sarn", których nie tylko poznanie, ale i gruntowne przyswojenie sobie, jest obowiązkiem prawego hodowcy zwierzyny płowej. Nacisk główny kładzie autor na utrzymanie właściwej liczebności pogłowia sarn w stosunku do wartości odżywczej łowiska. Najlepsze leśno-polne łowiska pozwalają na utrzymanie 12 — 16 sztuk sarn na 100 ha powierzchni, łowiska polne 9 — 10 sztuk, łowiska leśne, liściasto-iglaste, 6 — 8 sztuk, czysto iglaste — jeszcze mniej.

Stosunek płci powinien być utrzymany na poziomie 1:1. Liczba sztuk przeznaczonych do odstrzału nie powinna przekraczać naturalnego przyrostu rocznego, z uwzględnieniem strat, powodowanych w zwierzostanie przez kłusowników, choroby czy drapieżników. W praktyce równa się to 20 — 30% zwierzostanu. Odstrzał powinien w równym stopniu dotyczyć kozłów jak kóz, aby zachować pożądany stosunek 1:1. Aby ustalić prawidłowy plan odstrzału należy dokonać do dnia 1 kwietnia obliczenia nie tylko stanu ilościowego sarn w łowisku, ale i udziału w nim przedstawicieli poszczególnego wieku, gdyż to dopiero pozwoli na ściśle ustalenie sztuk dojrzałych do odstrzału, względnie wymagających tego ze względów selekcyjno-hodowlanych.

W. Zabiełło porusza dwie sprawy, jednakowo ważne. W pierwszej zwraca uwagę na konieczność i możliwość, większego niż dotąd wyzyskiwania dzików dla celów eksportowych; a w drugiej podaje sposób udoskonalenia metody szacowania szkód, wyrządzonych przez zwierzynę, w drodze kierowania się rejestrem klasy ziemi danego gospodarstwa rolnego i przeciętnymi dla tej klasy plonami, używanymi do określania wysokości podatków gruntowych.

J. Panfil daje krótką charakterystykę jarząbka i rozmieszczenia go w województwie olsztyńskim. Ogólną ilość sztuk jarząbków ustala autor na 450, przy czym największa ich ilość przypada na powiaty wschodnie, jak Węgorzewo, Mrągowo i Pisz. L. Pac Pomarnacki charakteryzuje dwie główne odmiany lisa polskiego: najbardziej pospolitego lisa leśnego, zuchwałego i zmyślnego rabusia, i lisa błotnego, mniejszego od lisa leśnego, o czarnym podbrzuszu i ciemniejszym futrze, trzymającego się wilgotnych lasów, mokradeł i zarośli nad stawami.

Inż. S. Dzięgielewski zamieszcza obszerną i ciekawą ocenę III pokazu trofeów myśliwskich w Olsztynie, który to pokaz Łowiec Polski omówił obszernie w zeszycie lutowym. M. Gabała podaje zestawienie odstrzałów w łowiskach województwa szczecińskiego w latach 1936/37 i 1945/46. Odstrzały z tego ostatniego okresu stanowią, w stosunku do przedwojennego, 10 — 20% zwierzyny płowej, 40% zajęcy, 50% kuropatw, 80% dzików oraz 300% lisów i borsuków.

Z dalszych prac, zamieszczonych w Biuletynie, wymienić należy: Refleksje po rykowisku na Mazurach — M. Rudzińskiego; Dzik — sprzymierzeniec leśnika — H. Sirwinda; Jak pracuje Powiatowa Rada Łowiecka we Włocławku — W. Koczalskiego; Kujawskie Koło Łowieckie — M. Skoniecznego; Bijemy na alarm (na temat „legalnego kłusownictwa") — J. Patalonga, wreszcie komunikaty Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Toruniu.

Nowy sposób hodowli bażantów. — W stanie Oregon w Ameryce Północnej zaczęto stosować nowy sposób hodowli bażantów. Zamiast kosztownych wolier, ustawia się szereg niedużych klatek, w których umieszcza się kwoki domowe, bądź siedzące na jajach bażancich, bądź też z wyklutymi, jednodniowymi pisklętami bażancimi. Kwokę i pisklęta dokarmia się, ale bażanciki mają możność wydostania się przez pręty na wolność, z czego korzystają chętnie, wracając do klatki na czas pożywienia i na noc. Po wyrośnięciu piskląt i zapoznaniu się ich z okolicą, klatki i kwoki usuwa się, a młode bażanty pozostają na swobodzie. Taki sposób wychowu wymaga zwiększonego dozoru i ochrony przed drapieżnikami, ale daje daleko szybciej radzące sobie pokolenie bażantów i jest znacznie mniej kosztowne, gdyż jeden dozorca może obsłużyć do 3.000 bażantów, sprowadzając koszt wyhodowania jednej sztuki do 50 centów. Ubytek naturalny tak hodowanych bażantów, nie przekracza 30 procent, co nie ustępuje hodowli wolierowej.

(„Wild und Hund", nr 18/49).

WIADOMOŚCI O ŻUBRACH — J. Żabiński — „Chrońmy przyrodę ojczystą", Nr 9/10 1949 r.

Z czterech rezerwatów żubra, jakie posiadamy, dwa tj. Białowieski i Pszczyński przeznaczone są dla żubrów nizinnych, tzw. białowieskich, dwa pozostałe — w Niepołomicach i w Gorcach — dla żubrów z domieszką krwi górskiej, kaukaskich. Wobec przepełnienia rezerwatu w Niepołomicach w maju 1949 r. przewieziono stamtąd do Smardzewic pod Tomaszowem Mazowieckim 6 sztuk żubrów, a ponadto przystąpiono do budowy w Gorcach nad Łopuszną nowego rezerwatu, specjalnie dla żubra górskiego, o powierzchni 100 ha.

Ogółem posiadamy obecnie w Polsce żubrów: w Białowieży — 22 sztuki, w Niepołomicach — 14 sztuk, w Smardzewicach — 6 sztuk, w Pszczynie — 13 sztuk, w Warszawie w Ogrodzie Zoologicznym — 1 sztuka. Razem 56 żubrów, w tym 21 buhai i 35 krów. Pozatym w Łodzi znajduje się jeden żubr — bizon. W bieżącym sezonie spodziewany jest przychówek w ilości 8 sztuk, tak że koniec roku zamknie się prawdopodobnie liczbą 64 sztuk.

POJAWIENIE SIĘ ŁABĘDZI DZIKICH NA PODLASIU — „Chrońmy przyrodę ojczystą" Nr 9/10 1949 r.

Na stawach rybnych majątku państwowego „Stanisławów" (gmina Skórzew pow. Siedlecki) zagnieździła się para dzikich łabędzi (Cygnus Otor) i wywiodła młode. Polski Związek Łowiecki zwrócił się do Centrali Państwowych Gospodarstw Rolnych z prośbą o wydanie zarządzenia celem zapewnienia ochrony tym rzadkim u nas gościom.

Współpraca organów M. O. w walce z kłusownictwem na terenie powiatu Grodzisko-Mazowieckiego

Od szeregu lat istnieje na terenie naszego powiatu kłusownictwo. Oprócz wnykarstwa i sidlarstwa zauważono tępienie zwierzyny przy pomocy wideł. „Sportem" tym zajmowali się wieśniacy z poszczególnych wsi, wobec czego do współpracy w walce zaproszono miejscowe organa bezpieczeństwa. Na rezultaty nie trzeba było długo czekać.

W roku 1946 schwytano 31 wnykarzy i sidlarzy, których przekazano starastwu do ukarania. W roku 1948 schwytano w lesie na gorącym uczynku dwóch wnykarzy, ob. Romana Zdziebłowskiego i Ryszarda Smolarka, zamieszkałych we wsi Łubno ,gminy Żyrardów Wiskitki. Dnia 27 listopada 1949 r. schwytano Wiktora Czupryńskiego zamieszkałego we wsi Feliksów gminy Żyrardów Wiskitki, z dowodem rzeczowym a mianowicie z zakłutym zającem widłami, osadzonymi na drągu o długości 397 cm. Kłusownika wraz z dowodem przekazano do starostwa. W całej walce najbardziej czynny udział brali kapral MO Żyrardowa ob. Władysław Kordjał, kapral Stanisław Ziomkiewicz z posterunku MO Wiskitki oraz nasz długoletni członek koła ob. Henryk Jaworski .Tą drogą na łamach Łowca Polskiego składamy wymienionym serdeczne podziękowanie oraz prosimy o dalszą współpracę.

Zarząd Koła Łowieckiego „Dzik"
w Żyrardowie



Pojmany kłusownik

Kalendarzyk myśliwski

W myśl ustawy łowieckiej z dnia 3 grudnia 1927 roku i rozporządzenia Ministra Leśnictwa z dnia 22 marca 1949 roku (Dz. Ust. RP. nr 21) polowanie na następujące zwierzęta łowne jest dozwolone (pole białe), wzbronione (pole czarne):

RODZAJ ZWIERZYNY	Marzec	Kwiecień	Maj
Głuszce koguty	■		15 ■
Cietrzewie koguty w województwach: Białystok, Kielce, Warszawa, Kraków, Rzeszów	■		15 ■
Cietrzewie koguty w pozostałych województwach	■	■	■
Dzikie kaczory w województach Białystok, Gdańsk, Lublin, Olsztyn, Toruń, Poznań, Szczecin			15 ■
Dzikie kaczory w pozostałych województwach	■	■	■
Gęsi	15 ■	■	■
Słonki			■
Bataliony			
Jastrzębie gołębiarze, krogulce, wrony, sroki			
Wilki, kuny kamionki, tchórze, gronostaje, łasice			
Króliki			

Maxime Ducrocq

Prezes Międzynarodowej Rady Łowieckiej (Conseil International de la Chasse) zmarł w dn. 23 grudnia 1949 r. w Paryżu, w wieku 79 lat.

Wybitny myśliwy, hodowca i strzelec francuski, prezes Zjednoczenia Myśliwych Francji Północnej, później prezes Saint Hubert Club de France, założył w 1930 r. Międzynarodową Radę Łowiecką, która zgromadziła w swych szeregach najwybitniejszych przedstawicieli łowiectwa całej Europy. Pierwsze zebranie Rady CIC odbyło się w r. 1931 w Paryżu, drugie w 1934 r. w Warszawie, trzecie w 1937 r. w Berlinie.

Dzięki inicjatywie i zabiegom Rady przeprowadzono kilka poważnych osiągnięć w dziedzinie międzynarodowego uregulowania stosunków łowieckich. Do nich należą: ujednostajnienie metod oceny trofeów łowieckich, ujednostajnienie numeracji śrutu, otoczenie opieką ptaków wędrownych, uregulowanie zagadnienia ochrony łosia, ułatwienia w przewozie między państwami broni i amunicji łowieckiej, uregulowanie stosunków łowieckich w okręgach przygranicznych itp. Wojna ostatnia dużą część tych osiągnięć przekreśliła.

Notatka z prasy bułgarskiej

„FRONT OJCZYŹNIANY" Nr. 1655 z dnia 10 stycznia 1950 r. *„Gospodarka zwierzyną użytkową opiera sie na zasadach planowania"*.

Gospodarka zwierzyną użytkową w bieżącym roku opiera się na zasadach planowania. Wzorowe, planowe zagospodarowanie łowisk zostanie wprowadzone w trzech powiatach — „Stalin", „Ruze", „Szumen".

Dla hodowli i rozprowadzenia zwierzyny użytkowej Związek Łowiecko - Rybacki zorganizował 7 stacji hodowlano - łowieckich i jedno gospodarstwo łowieckie. W miejscowości „Czaira" w górach Radopu rozpoczęto również budowę pierwszego w kraju schroniska łowiecko - rybackiego, przy którym powstanie wzorowe gospodarstwo łowiecko-rybackie.

W roku 1949 w gospodarstwie łowieckim „Tundża" wyhodowano sztucznie 300 sztuk bażantów, które zostały rozprowadzone w różnych miejscach na terenach kółek łowiecko-rybackich w okolicach Pazardżoku, Karłowa, Starej Zagory, Stalina, Dolnoczyfliku, Pierwszy Maja.

W ciągu roku przesiedlono 8 jeleni i danieli do Parku Narodowego „Kajłyk" koło Plewen, Parku „Ruze" i innych.

W 1949 roku bułgarskie kółka łowiecko-rybackie w kraju przekazały przedsiębiorstwu państwowemu „Centrala Skór": 143.000 skór zajęcy, 15.000 skór wiewiórek, 12.000 skór lisów, 3000 skór tchórzy, 1000 skór borsuków, 500 skór żbików, 200 skór tumaków i kamionek, 100 skór wyder, 40 skór szakali, około 500 skór wilków.

Tłumaczyła mgr. *Jadwiga Bohuszowa*

———oOo———

DZIEŃ LASU
W POWIECIE WELUŃSKIM

Powstały na terenie powiatu wieluńskiego Komitet „Dnia Lasu", w którym przyjęli udział przedstawiciele Wieluńskiej Rady Łowieckiej, rozwinął żywą działalność na rzecz propagandy znaczenia lasu. Uwagę szczególną zwrócono na dziatwę szkolną: zorganizowano we wszystkich szkołach pogadanki na ten temat, przeprowadzono we wszystkich szkołach CŁ1 temat, przeprowadzono pod kierownictwem nauczycieli i pod dorozem nadleśnictw zalesienie 230 ha nieużytków, urządzono kilkadziesiąt wycieczek dzieci do lasu, zakończonych zabawami dla uczestników zalesienia.

Ś. p. Dr. Józef Krotoski

W dniu **21 stycznia 1950 r. zmarł wskutek tragicznego wypadku ś. p. Dr. med. Józef Krotoski, podłowczy i sekretarz Pow. Rady Łowieckiej PZŁ w Rybniku.**

Ś. p. Zmarły, jako myśliwy o wysokiej etyce łowieckiej, był ofiarnym pracownikiem PZŁ i pierwszym redaktorem oraz inicjatorem wydawanego miesięcznika „Biuletyn Powiatowej Rady Łowieckiej". Podobnie jak w codziennej pracy, jako niestrudzony lekarz uzdrawiał dzięki nabytej wiedzy wielu chorych, tak w miesięcznych komunikatach łowieckich uzdrawiał rany zadane przez ostatnią wojnę lasom i zwierzostanowi. Braci myśliwskiej powiatu rybnickiego niezapomniane będą te wszystkie wskazania nieodżałowanej pamięci Zmarłego, znanego wszystkim jako dobrego, uczynnego, zawsze gotowego do jaknajwiększych poświęceń kolegi i przyjaciela.

Manifestacyjny pogrzeb z udziałem wielkiej rzeszy społeczeństwa świadczył o szczerej sympatii dla Tego, który odszedł niespodziewanie z naszych szeregów do „krainy wiecznych łowów".

Cześć Jego pamięci!

Rada Powiatowa w Rybniku

KRONIKA MYŚLIWSKA

Koło Myśliwskie Przasnysz opolowało w sezonie 1949/50 15.500 ha pól. No polowaniach tych oddano 5.272 strzały i odstrzelono 1.488 zajęcy oraz 4 lisy.

W roku 1948/49 na tym samym terenie zdobyto 589 zajęcy i 3 lisy.

Koszty polowań wyniosły w r. b.:

Dzierżawa terenu	38.720 zł.
5.272 naboje	289.960 „
568 dniówek naganki	17.400 „
Furmanki pod zające	38.000 „
Razem	537.080 zł.

Łowczy powiatowy
A. Gumiński

Uwaga Redakcji. Kronikę myśliwską znakomicie uzupełniłoby przytoczenie danych o zabiegach hodowlanych i ochronnych, prowadzonych przez Koło Myśliwskie w tym samym czasie.

———oOo———

NA ODBUDOWĘ SIEDZIBY PZŁ

Kol. Jan Zapaśnik ze Starego Jawora złożył na odbudowę siedziby naszego Związku hojny dar — 1 000 zł., za który serdecznie dziękujemy.

———oOo———

SPROSTOWANIA DO ZESZYTU 1-GO

1. Podpis pod rysunkiem orła na str. 26: „Orzeł przedni z Karpat" jest błędny. Powinno być: „Orzeł bielik" (Haliaectus Albicilla).
2. Autorem zdjęcia zamieszczonego na str. 11: „Zdobycz z dubletu", nie jest W. Puchalski, ale Z. Porębski, zaś odwrotnie — zdjęcie: „Zaczarowany las" wykonane zostało nie przez Z. Porębskiego, ale przez W. Puchalskiego.
3. Autorem fotografii oryginalnej zatytułowanej: „Ciężkie czasy", nie jest firma Mańkowski. Zużytkowała ona jedynie reprodukcję tego zdjęcia, stanowiącego własność przedwojennej firmy wydawniczej: „Popverlag" w Kłodzku.

SPROSTOWANIE

W zeszycie 2 (lutowym) na str. 30 wydrukowano błędnie tytuł wzmianki: „Duńska amunicja światowa". Powinno być: „Duńska amunicja śrutowa".

CENY OGŁOSZEŃ:

Za ogłoszenie jednorazowe na okładce lub za tekstem pobiera się: za całą stronę — 30.000 zł, za ¾ strony — 25.000 zł, za ½ strony — 20.000 zł, za ⅓ strony — 15.000 zł, za ¼ strony — 12.000 zł, za 1/5 strony — 10.000 zł, za 1/8 strony — 8.000 zł. Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne, prywatne, zwykłym drukiem — 50 zł za wyraz, grubym drukiem — 100 zł za wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcje Lasów Państwowych oraz Zarządy Państwowych Gospodarstw Rolnych korzystają z 50% zniżki, jeśli ogłoszenia nadsyłane są bezpośrednio do Administracji pisma.

Wydawca — Polski Związek Łowiecki. Warszawa, Nowy Świat 35. Konto PKO I-1077

Komitet Redakcyjny: J. Bohusz, E. Frankiewicz, J. Gieysztor (przewodniczący), S. Ihnatowicz, Z. Kowalski, R. Kryspin, M. Sadzewicz, A. Śliwiński, H. Zapolski - Downar. Doradca graficzny — S. Rozwadowski

Zam. nr 3923 z dn. 10.II.50. 30.000 egz. Ukończ. w marcu 1950 r. B-103351

Druk „Prasa Demokratyczna — Nowa Epoka". W-wa. Śniadeckich 16.